



Moskwa

POŻEGNANIE ALEKSIEJA NAWALNEGO

„Mimo terroru i całkiem realnego zagrożenia zaskakująco wielu Rosjan odważyło się wziąć udział w pogrzebie Aleksieja Nawalnego. Zamiast tym kreślony przed rychłymi już »wyborami« obraz powszechnego poparcia dla Putina” – tak o postawie Rosjan pisze Wacław Radziwinowicz ► 9

◀ Pogrzeb opozycjonisty odbył się w piątek. Przez cały weekend w kolejce do złożenia kwiatów na grobie na cmentarzu Borysowskim w Moskwie ustawiały się tłumy

„Wyborcza” ujawnia

Hermes, lepszy Pegasus

Wiosną 2021 r. Prokuratura Krajowa kupiła za 15 mln zł system szpiegowski Hermes. Jeszcze bardziej zaawansowany niż Pegasus.

Wojciech Czuchnowski

Prokuratorem krajowym był wtedy Bogdan Świączkowski, jeden z najbliższych współpracowników Zbigniewa Ziobry. W 2022 r. Świączkowski odszedł z PK i został sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Świączkowski odebrał od nas telefon, ale nie pozwolił nawet na zadanie pytania i się rozłączył. Odpisał za to na zadane SMS-em pytanie: „W czasach, kiedy byłem Prokuratorem Krajowym, nie zakupiono żadnego oprogramowania szpiegowskiego”. Zapytany o Hermesa odpisał: „Niech Pan pyta uzurpatora Bilewicza”. Chodzi o Jacka Bilewicza, który objął obowiązki szefa PK, gdy prokuraturę przejął minister Adam Bodnar. Pytania zadaliśmy też Krzysztofovi Krelowskiemu. To były dyrektor inspektoratu wewnętrznego w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a w 2021 r. radca prawny PK, zaufa-

ny człowiek Świączkowskiego. Według naszych źródeł to właśnie Krelowski negocjował zakup Hermesa z jego izraelskim producentem. Krelowski pytany o tę sprawę zasłonił się tajemnicą adwokacką. Pytaliśmy go też, czy to prawda, że będzie świadkiem przed sejmową komisją śledczą badającą aferę Pegasus. Zaprzeczył. – Ktoś tam próbował ze mną o tym rozmawiać, ale bez konkluzji – powiedział.

Skąd kierownictwo PK wie o Hermesie?
O istnieniu Hermesa obecne kierownictwo PK dowiedziało się w niecodzienny sposób. Według źródeł „Wyborczej” w ubiegłym tygodniu przyszedł rachunek za abonament, który trzeba płacić za używanie systemu. – Wtedy zainteresowaliśmy się, co to jest. Sprawa wygląda bulwersująco. Na razie zbieramy materiały – mówi nasz informator z PK. Ofi-

cialnego stanowiska prokuratury na razie nie ma.
O tym, że Prokuratura Krajowa miała „swojego Pegasus”, „Wyborcza” dostała informację przed dwoma tygodniami. Historia brzmiała niewiarygodnie. Prokuratorzy nie mają przecież uprawnień do prowadzenia na własną rękę kontroli operacyjnej. Podsluchy czy inwigilację korespondencji mailowej zlecają policji lub służbom specjalnym. To one używały Pegasus. Jednak informator podał szczegółowe dane (nazwiska, daty, nazwy), które potem potwierdziliśmy w innych źródłach. Ustalenia są następujące:
Zakup Hermesa nastąpił wiosną 2021 r. Transakcję negocjował z producentem mec. Krzysztof Krelowski. Cena z licencją: 15 mln zł plus abonament.
Hermes został kupiony jako „specjalistyczny program analityczny”. Nie był certyfikowany przez ABW. Jego „centrala” mieściła się w Kancelarii Tajnej PK. Zarządza nią do dziś Klaudia Kacperska, dyrektor Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego PK, zaufana Świączkowskiego.

Obsługą Hermesa zajmowali się dwaj byli funkcjonariusze ABW: Robert B. z departamentu wsparcia operacyjno-technicznego oraz Piotr K., były dyrektor departamentu zabezpieczenia technicznego ABW, z czasów gdy szefem tej służby był Świączkowski (pierwszy rząd PiS, 2006-07). Piotr K. pracował na umowę-zlecenie, dostawał 1000 zł za godzinę.
Według informacji „Wyborczej” oprogramowanie służyło do nielegalnej inwigilacji polityków, urzędników państwowych, sędziów oraz prokuratorów podejrzewanych o nielojalność wobec rządu Zjednoczonej Prawicy i ekipy Ziobry. Na celowniku Hermesa znaleźli się m.in. prokuratorzy z Lex Super Omnia i sędziowie ze stowa-

rzyszeń walczących o niezależność sądownictwa.
Jak działa Hermes?
Według specjalisty od informatyki (eks ABW) Hermes jest oprogramowaniem bardziej zaawansowanym od Pegasus – nie można go wykryć narzędziami typu „spyware” jak Pegasus, bo instaluje się w niższej warstwie systemowej, daje większe możliwości ingerencji w urządzenie.
Hermes to kombajn, pozwala ściągać dane z zatrzymanych w śledztwach telefonów i śledzić na bieżąco telefon. Czasami wystarczy, że użytkownik wejdzie w sieć Wi-Fi, którą służby przejęły, lub ma aktywny Bluetooth. Można go też zainstalować, gdy telefon jest wyłączony.
To ostatnie jest szczególnie dogodne przy nielegalnych wejściach na smartfona. W wielu instytucjach jest zasada, że przed ważnymi rozmowami czy spotkaniami telefony oddaje się do depozytu. Użytkownicy przeważnie je wyłączają. Telefon w depozycie to idealna okazja, by zainstalować na nim „szpiega” albo pobrać całą jego zawartość. ●

Hermesa nie można wykryć narzędziami typu „spyware” jak Pegasus

Wydaje Agora SA
nr indeksu 348198

10>

ISSN 0860-908X

9 770860 908112

THE RAINCOATS
(z Londynu)

PIERWSZY W POLSCE KONCERT
PUNK ROCK

w dniach 1.04.78 (sobota) i 2.04.78 (niedziela)
w godz. 17.00 i 21.00

Kultura

Bunt
w systemie

Bigbeat, Jarocin, z drugiej strony cenzura i ZOMO. Wystawa „Bunt w systemie” wprowadzi młodych w skomplikowany świat relacji PRL-u z muzycznymi trendami ► 16

Ekonomia

Pikniki za
pieniądze rządu

Resort Marleny Małag wydal 11 mln zł na imprezy promujące w roku wyborczym waloryzację do 800 zł świadczenia 500+ – wynika z ustaleń „Wyborczej” ► 11

DUŻYFORMAT

Na tropie Pegasus

• O Magdalenie Sroce pisze Marcin Wójcik

NA TROPIE PEGASUSA

Arkadiusz
Gruszczyński

Dobry dziadek Kaczyński. Czy ktoś się nabierze?

Niby w czasie kampanii wyborczej można obiecać wszystko, a nawet jeszcze więcej. Politycy nas do tego przyzwyczaili. Jednak sobotnie słowa Jarosława Kaczyńskiego na konwencji samorządowej w Warszawie wprawiły mnie w osłupienie. Prezes PiS opowiadał sporo o współpracy, pluralizmie i wartości samorządowej Polski. – Samorządy powinny być ostoją wolności, na którą się dzisiaj podnosi rękę – przekonywał Kaczyński. Miał oczywiście na myśli koalicyjny rząd Donalda Tuska. – Pamiętajmy, że inwestycje z Polskiego Ładu były dla wszystkich, nie miały koloru partyjnego, nie kierowaliśmy się względami partyjnymi. Kryteria odnosiły się do potrzeb – zaznaczał Kaczyński.

Chciałbym w tej chwili zobaczyć minę Rafała Trzaskowskiego i prezydentów innych polskich miast, którzy na liczbach pokazywali drenaż budżetów samorządów i zamachy na ich niezależność. W przypadku tylko Warszawy mówimy o 11 miliardach złotych. O tyle zostały uszczuplone dochody Warszawy przez działania władzy PiS. Miasta, miasteczka i wsie znacząco straciły na zmianach podatkowych, które

firmował rząd Mateusza Morawieckiego. Wsparcie dla lokalnych inwestycji, którymi chwalił się Kaczyński, trafiały głównie do gmin, gdzie PiS miał większość. A awantura z Unią Europejską wstrzymała wypłatę środków z Krajowego Programu Odbudowy, które miały trafić głównie do samorządów.

Sztabowcy PiS wmówili prezesowi, że hasła o pozytywnym programie dla Polski lokalnej to dobry plan na sukces

Tymczasem Kaczyński kilkadziesiąt razy podkreślił, że Prawo i Sprawiedliwość „jest na tak”. Najwyraźniej sztabowcy PiS wmówili mu, że hasła o współpracy i pozytywnym programie dla Polski lokalnej to dobry plan na sukces. Problem w tym, że ten nowy przekaz jest po prostu niewiarygodny.

PiS stracił władzę głównie z powodu nieustających sporów i kłótni. Jarosław Kaczyński i jego najbliżsi współpracownicy są mistrzami w dzieleniu społeczeństwa. Zaostrzyli prawo aborcyjne, rozpętali nagonkę na środowisko LGBT, wyprowadzili rolników na ulice, dyskredytowali pracę nauczycieli, oczerniali młodych lekarzy, a prezes kpiał z młodych kobiet.

Partia Jarosława Kaczyńskiego jest ostatnią siłą polityczną w kraju, która może namawiać do współpracy. Po jesiennych wyborach widzieliśmy przecież wszyscy przepychanki polityków PiS ze strażą marszałkowską, próbę obstrukcji w Sejmie, nieuznawanie wyroków sądów w sprawie byłych posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Kaczyński mówił o dyktaturze Tuska, zabójstwach politycznych, a marszałka Szymona Hołownię nazwał zbrodniarzem.

Wizerunku PiS nie da się zmienić. A „Tak bus”, który ma krążyć po Polsce, jest tylko groteskową próbą takiej zmiany. ●

Wyścig psich zaprzęgów na Alasce Do biegu, gotowe, start!



FOT. REUTERS / KERRY TASKER

Ten wyścig to jedna z tradycji Alaski. W każdą pierwszą sobotę marca od 52 lat rozgrywany jest The Iditarod Trail Sled Dog Race. Trasa zawodów ma ponad 1500 km. Na zdjęciu: zaprzęg Seana Williamsa.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Stawki dla lekarzy

540

Zł
za godzinę pracy może dostać radiolog, reumatolog czy urolog. Średnia stawka dla lekarza to 200 zł – wynika z analizy ofert pracy przeprowadzonej przez Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy

Więcej o zarobkach lekarzy pisze Judyta Watóła
► 7

Ewa Swoboda W siedem sekund po medal

Jest za wcześnie, by szybko biegać – powiedziała przed kamerą BBC chwilę po tym, jak ekspresowo pomknęła w eliminacjach biegu na 60 m podczas Halowych Mistrzostw Świata w Glasgow. A potem nie dość, że została gwiazdą mediów społecznościowych w Wielkiej Brytanii, to jeszcze pobiła rekord Polski i zdobyła srebrny medal najważniejszej halowej imprezy lekkoatletycznej na świecie.

Ma 26 lat, pochodzi z Żor na Śląsku, gdzie w piątej klasie podstawówki z tłumu biegających dziewczynek wyłowila ją nauczycielka WF Iwona Krupa. Do dziś jest jej trenerką, pod jej okiem stała się wybitną sprin-

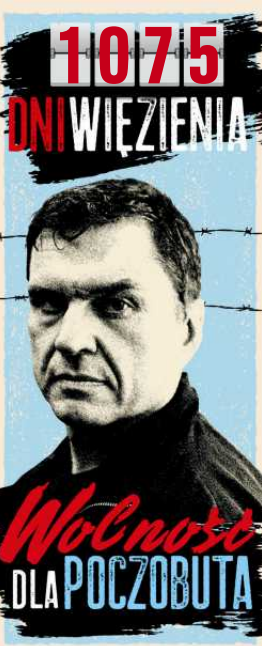
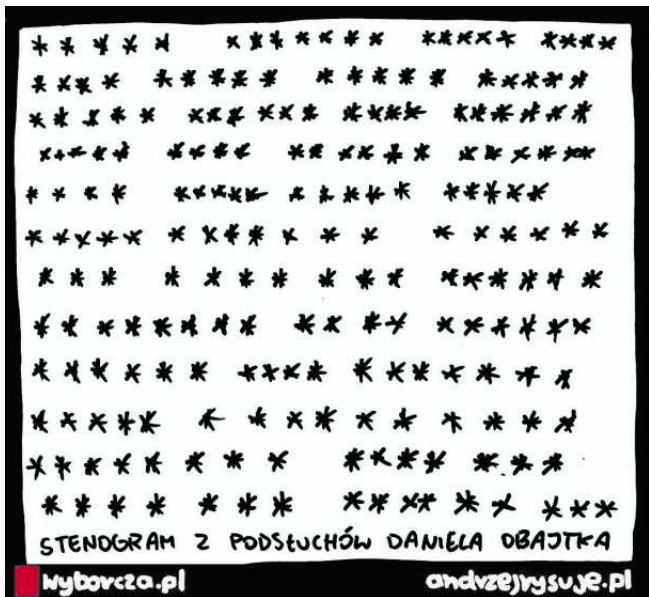


FOT. REUTERS / PAUL CHILDS

terką. Specjalizuje się w sprinterskim biegu w hali, gdzie do pokonania jest 60 m. Na otwartym stadionie, gdzie biega się 100 m, też prezentuje już klasę światową – była w finale ostatnich MŚ w Budapeszcie. Słynie nie tylko z szybkiego biegania, ale też ekstrawaganckich makija-

ży, długich paznokci i tatuaży. Latem na igrzyskach w Paryżu na pewno znów pobiegnie szybko. I skupi na sobie uwagę kibiców, bo w tym jest równie mocna, jak na bieżni. ●
Marcin Wesolek
• **Więcej o Halowych Mistrzostwach Świata**
► 19

Andrzej rysuje



1 marca 2024 r. odeszła

Ewa Kuszyk

Śmierć zawsze jest nie na miejscu i zawsze przychodzi nie w porę – za szybko, za rano, za nagle.
Dopada w pracy, przed kąpielą, po obiedzie.
Przychodzi w czwartek, a mogłaby w sobotę.
Przychodzi i zostawia ból.
Ból, który ukoić mogą tylko wspomnienia...

Ewuniu

zostaniesz w naszych wspomnieniach.

Przyjaciele z „Gazety Wyborczej”

Marta Kiełczewska-Konopka

KORESPONDENCJA Z PARYŻA

– Fundamentalna wolność kobiet do kontrolowania własnego ciała zostanie w końcu zapisana w konstytucji. Kobiety są wolne – zadeklarował na antenie radia France Info minister sprawiedliwości Éric Dupond-Moretti.

Blisko pół wieku po zalegalizowaniu aborcji w 1975 r., Francja jako pierwszy kraj na świecie szykuje się do wpisania prawa do niej w ustawie zasadniczej.

Dziś na zamku w Wersalu zbierze się Kongres Parlamentu Francuskiego, by 577 posłów i 348 senatorów większością 3/5 głosów mogło przyjąć poprawkę do konstytucji. „Ustawa określa warunki korzystania z gwarantowanej kobiecie wolności do dobrowolnego przerwania ciąży” – ma odtąd głosić jej 34. artykuł. Zapowiedziano transmisję sesji na gigantycznym ekranie na placu Wolności i Praw Człowieka w Paryżu.

– To czysta formalność, jeśli zsumować głosy 493 posłów i 267 senatorów, którzy w obu izbach zagłosowali „za” – analizuje na łamach katolickiego dziennika „La Croix” Jean-Philippe Derossier, profesor prawa publicznego na Uniwersytecie w Lille.

Według najnowszego sondażu YouGov, wpisanie aborcji do konstytucji jest zgodne z wolą 66 proc. Francuzów (8 proc. mniej niż w grudniu 2022 r.). „Za” są zwłaszcza młodzi w wieku 18-34 lat (76 proc.) oraz kobiety (71 proc. versus 60 proc. mężczyzn).

Posiedzenie Kongresu kończy proces parlamentarny rozpoczęty w listopadzie 2022 r., w reakcji na decyzję Sądu Najwyższego USA z czerwca owego roku o uchyleniu federalnego prawa do aborcji.

„Prawo” czy „wolność”?

Do ostatniej chwili przeciwnicy prawa do aborcji starali się wywrzeć presję na zdominowany przez prawicę i mężczyzn (64 proc.) Senat.

„Zalejmy Senat telefonami, by nas usłyszano!” – nawoływali ruchu antyaborcyjnego pro-life na kanałach społecznościowych w dniu głosowania 28 lutego.

„Nasza mobilizacja nigdy nie była tak istotna dla ŻYCIA. Proszę, poświęć dwie minuty swojego czasu na rzecz nienarodzonych dzieci” – pisała jedna z parafianek z grupy na WhatsAppie w podparyskiej parafii Bry-sur-Marne, podając numery telefonów wszystkich senatorów i sposoby na ominięcie bariery sekretarek. A także gotowy do wyrecytowania tekst.

– Konstytucja to nie katalog praw socjalnych i społecznych – uzasadniał swoje negatywne stanowisko wobec projektu przewodniczący Senatowi Gérard Larcher w radio Franceinfo. Przeciw aborcji w konstytucji byli też przywódcy głównych partii – prawicowych Republikanów (Bruno Retailleau: „Gwarancja to obowiązek”) oraz centrystów (Hervé Marseille).

Część senatorów obawiała się, że termin „gwarancja” może stworzyć „egzekwowalne prawo do przerywania ciąży”.

Po trwającej trzy i pół godziny gorącej debacie, Senat przyjął – stosunkiem głosów 267 do 50 – tekst poselski z 30 stycznia w niezmienionej formie. Był to warunek sine qua non uruchomienia procedury zmiany konstytucji bez konieczności przeprowadzenia referendum.

To przesłanie nadziei

„Piszemy Historię!” – podsumowała głosowanie Mathilde Panot, przewodnicząca skrajnie lewicowej Francji Niepokornej w parlamencie.

„Wielki przełom, ogromne feministyczne zwycięstwo, wspaniałe przesłanie, które wysyłamy całemu światu w czasie, gdy reakcyjniści rosną w siłę” – komentowała na serwisie X senator z partii Zielonych Mélanie Vogel.

„Nareszcie! (...) Nigdy więcej żaden zapartyzowany w przeszłość reakcjonista nie będzie podporządkowywać kobiet, ich praw i ciał swojemu kaprysowi lub programowi politycznemu” – uznał przywódca komunistów Fabien Roussel.

Zaś dla europosła Raphaëla Glucksmanna to „bardzo mocne przesłanie nadziei w tych



• Francuzki trzymają plakaty z napisami „Moje ciało, moja macica, mój wybór” i „Nigdy więcej” podczas demonstracji zorganizowanej przez kolektyw „Aborcja Europa, kobiety decydują” w Paryżu, 28 lutego 2024 r. FOT. REUTERS / ABDUL SABOOR

Francja: prawo do aborcji w konstytucji?

Dziś zbierają się obie izby parlamentu, by wspólnie o tym przesądzić. Poprawka ma symbolicznie wejść w życie 8 marca, gdy świat obchodzi Międzynarodowy Dzień Kobiet.

niespokojnych czasach zamknięcia się społeczeństw w sobie”.

Marion Maréchal, liderka skrajnie prawicowej listy Reconquête do wyborów europejskich, napisała w serwisie X: „Nasz kraj jest najeżdżany przez cudzoziemców, nasze babcie gwałcone przez obcokrajowców z nakazem opuszczenia terytorium Francji (OQTF), islamisci podrzynają gardła na naszych ulicach, a nasi rolnicy popełniają samobójstwa. Tymczasem w poniedziałek zwołamy posiedzenie Kongresu, by zapisać w konstytucji aborcję, której nic nie zagraża”.

Z kolei francuski episkopat w oficjalnym oświadczeniu podkreślił, że „aborcja, która pozostaje atakiem na życie u samego jego początku, nie może być postrzegana wyłącznie przez pryzmat praw kobiet”. Biskupi wyrazili ubolewanie, że „w debacie nie poruszono kwestii wsparcia dla tych, którzy chcą zatrzymać swoje dziecko”.

Na łamach „Vatican News” ostro skrytykowała Francję Stolica Apostolska ostrzegając, że kraj szykuje się „do przyjęcia konstytucji przeciwko życiu”. Przypomniła równocześnie, że zdaniem papieża Franciszka „aborcja jest zabójstwem”.

Symbol praw kobiet

We Francji przerwanie ciąży jest legalne od 1975 r., a od 1992 r. stało się prawem. Dwa la-

ta temu wydłużono czas, do kiedy można dokonać zabiegu – z 12 do 14 tygodni.

Wpisanie tego prawa do konstytucji nie zmienia jego treści. Lekarze nadal będą też mogli powoływać się na klauzulę sumienia, by odmówić dokonania zabiegu.

Podczas debaty senackiej minister sprawiedliwości Éric Dupond-Moretti zapewnił, że wolność sumienia jest podstawową zasadą konstytucyjną i nie może być kwestionowana. – Rząd nie zamierza tworzyć absolutnego, nieograniczonego, egzekwowalnego pra-

■
*Wolność sumienia lekarzy
jest tak samo ważna
jak wolność wyboru kobiety.
Pozostaniemy czujni
na wszelkie próby
jej podważenia*

DR BERTRAND DE ROCHAMBEAU
przewodniczący związku zawodowego
ginekologów i położników Francji (Syngof)

wa. Chce tylko uniemożliwić przyszłej większości podważenie wolności kobiet do kontrolowania własnego ciała – tłumaczył, odnosząc się do rosnącej popularności skrajnej prawicy.

Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen, które niedawno sprzeciwiło się wydłużeniu terminu legalnej aborcji, jest faworytem w sondażach wyborczych do Parlamentu Europejskiego.

– Wolność sumienia lekarzy jest tak samo ważna jak wolność wyboru kobiety. Pozostaniemy czujni na wszelkie próby jej podważenia – ostrzegł na łamach dziennika „La Croix” dr Bertrand de Rochambeau, przewodniczący związku zawodowego ginekologów i położników Francji (Syngof).

– Wpisanie obowiązującego prawa do konstytucji wcale nie oznacza, że zyska ono wiele pod względem skutecznych gwarancji. To akt symboliczny wspierający prawa kobiet – potwierdza profesor prawa publicznego Anne-Charlène Bezzina na antenie telewizji TFL.

Jak przypomina kolektyw Prawa Kobiet 14, we Francji „dostęp do aborcji staje się coraz bardziej ograniczony z powodu zamykania wyspecjalizowanych w wykonywaniu tego zabiegu ośrodków [130 w ciągu ostatnich 15 lat] i oddziałów położniczych [814 w 1996 r., 461 w 2019 r.], nierówności między regionami, istnienia pustyni medycznych i zmniejszenia finansowania stowarzyszeń pomagających kobietom, w szczególności organizacji planowania rodziny...”.

Francja świeci przykładem

Dwa dni przed głosowaniem w Senacie w silnie prawicowej telewizji Cnews w infografice na temat przyczyny zgonów na świecie aborcję wymieniono obok chorób onkologicznych i palenia tytoniu.

„Co za hańba! Właśnie dlatego konieczne jest zapisanie prawa do aborcji w konstytucji” – zareagował Marc Ferracci poseł partii rządzącej Renesans.

– Dziś w naszym kraju prawo do aborcji nic nie zagraża. Ale nie trzeba czekać, aż to się stanie, by działać. Francja staje się też przykładem dla świata, zgodnie ze swoim uniwersalistycznym przesłaniem – tłumaczył w radiu France Inter minister Dupond-Moretti.

W 2022 r. przeprowadzono we Francji 234 tys. zabiegów przerywania ciąży.

Od czasu powołania do życia V Republiki w 1958 r. Kongres zebrał się dwadzieścia razy. Głosował nad 24 poprawkami do konstytucji i zatwierdził 21 z nich, w tym zakaz kary śmierci w 2007 r. ●

Tantiemy z internetu

Filmowcy walczą o pieniądze

Wygląda na to, że filmowcy dopięli swego – minister Bartłomiej Sienkiewicz zapowiedział, że będą dostawać tantiemy za pokazywanie ich filmów i seriali w serwisach VOD. Ekspert zwraca jednak uwagę, że na podstawie tych samych przepisów o pieniądze mogą się też upomnieć inne grupy zawodowe.

Dawid Dróżdż

Ostatnie tygodnie upłynęły w Polsce pod znakiem protestów. Buntują się rolnicy, ale niezadowolenie i zniecierpliwienie manifestują także filmowcy. Domagają się od nowego rządu, by zajął się zaniebdaną przez PiS kwestią wynagrodzeń dla twórców za prezentowanie ich filmów i seriali na platformach streamingowych.

Wyjaśniamy, o co chodzi w sprawie tzw. tantiem z internetu.

Czym są tantiemy z internetu?

To pieniądze wypłacane twórcom danego dzieła za jego wykorzystanie. Zgodnie z polskim prawem twórcy filmowi – poza pieniędzmi wypłacanymi przez producentów na etapie tworzenia filmu lub serialu – otrzymują także wynagrodzenia za wyświetlanie ich dzieł w kinach czy telewizji.

Jak to wygląda w praktyce? Operatorzy kin są zobowiązani do odprowadzania opłat na tantiemy do Stowarzyszenia Autorów ZAiKS oraz Związku Autorów i Producentów Audiowizualnych. Te organizacje zbiorowego zarządzania prawami autorskimi po pobraniu prowizji wypłacają wynagrodzenia twórcom.

Mówiąc prościej: część pieniędzy, które wydajemy na bilet do kina, trafia do reżyserów, scenarzystów i aktorów. Analogicznie wygląda sytuacja w przypadku telewizji.

Od kilku lat głównymi graczami na rynku są jednak platformy streamingowe i serwisy VOD. Przemianę krajobrazu medialnego przyspieszyła pandemia, podczas której widzowie masowo przenieśli się z kin do internetu.

Twórcy pokazywanych polskim użytkownikom produkcji – w większości przypadków – nie dostają jednak za to złamanego grosza. Bo polskie prawo nie zobowiązuje platform streamingowych do wypłacania tantiem.

Przykład? Serial „Ranczo”, który do 2016 r. emitowany był w TVP. Licencję do pokazywania serialu w sieci wykupił Netflix. „Ranczo” stało się jedną z najpopularniejszych polskich produkcji na platformie. Według analizy przeprowadzonej przez firmę Plum Research czas odtwarzania poszczególnych sezonów serialu

w 2023 r. wynosił od 1,8 mln do 2,6 mln godzin. Produkcja generowała duże zyski, ale reżyser Wojciech Adamczyk czy aktorzy głównych ról Cezary Żak i Artur Barciś nie dostali za to wynagrodzenia.

Platforma wykupuje prawa do pokazywania dzieła od producenta, który inkasuje za to pieniądze. Twórcy nie dostają żadnego procenta, nie podpisują umowy z Netflixem, nie wiedzą nawet, że ich dzieło będzie udostępnione w internecie. Nikt nie pyta nas o zdanie – mówi Katarzyna Warzecha, reżyserka serialu „Absolutni debutanci”, który od października jest na Netflixie.

W 2012 r. zrobiłem serial „Paradoks”, za który dostałem sporo tantiem z telewizji. Ale już wtedy mniej więcej połowa widzów oglądała tę produkcję za pośrednictwem platformy TVP VOD. Od 12 lat zastanawiam się, czemu twórcy nie dostają pieniędzy za oglądalność serialu w internecie – dodaje scenarzysta i pisarz Igor Brejdygant.

Dlaczego filmowcy powinni dostawać tantiemy z internetu?

Pod jednym z artykułów o tantiemach na Wyborcza.pl komentujący napisał: „A może by tak sprawę poszerzyć? Może niech człowiek, który składał telewizor, samochód, smartfona, komputer, golarkę, traktor itp., też dostaje opłatę za użytkowanie przez kogoś swojej pracy”. W dyskusjach w mediach społecznościowych jest sporo podobnych komentarzy.

Spróbujmy więc odpowiedzieć na to pytanie: czy np. stolarz powinien dostawać tantiemy od rodziny, która je śniadanie przy wykonanym przez niego stole?

Stolarz, który wykonał stół, nie dostanie za to tantiem. Ale jeśli stolarz stworzy projekt stołu, który będzie powielany, to powinien otrzymać za to pieniądze. Nikt się nie dziwi, że Stephen King poza wynagrodzeniem od wydawnictwa otrzymuje procent od każdego sprzedanego egzemplarza książki – przekonuje Brunon Hawryluk, scenarzysta, autor podcastu „Natural Born Writers”.

Stoły produkowane hurtowo są takie same. Twórcy filmowi nie tworzą dwóch takich samych filmów – dodaje Warzecha, która wyjaśnia na własnym

► **Tantiemowy Sztab Kryzysowy zorganizowany w kinie Kultura w Warszawie przez młodych twórców. 29 lutego 2024 r.**

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



przykładzie, w jak trudnej sytuacji finansowej znajdują się filmowcy u progu kariery. – Po skończeniu jednego kierunku studiów dostałam się na studia filmowe. Musiałam utrzymywać się sama. W czasie studiów się zadłużałam, by robić filmy, które odnoszą sukces na arenie międzynarodowej. Wszystko po to, by mieć możliwość pracy na planach jako asystent reżysera. Przez jakiś czas pracowałam za darmo, by zyskać doświadczenie. Później za półdarmo u boku znanych reżyserów. Wyrobiłam sobie nazwisko, ale nadal nie mogę zarabiać godnych pieniędzy, bo dostaję wynagrodzenie wyłącznie za wykonanie roboty. Lata spędzone

w szkole czy na planach są moim wkładem intelektualnym w dzieło, który powinien być wynagradzany.

Twórcy pracują stale, ale wynagradzani są okresowo. Tylko raz na jakiś czas udaje nam się sprzedać dzieło. Często w czasie tworzenia nie jesteśmy wynagradzani za naszą pracę. Tantiemy pozwalają nam przetrwać ten trudny okres – zauważa Igor Brejdygant. – My, twórcy z wieloletnią praktyką, zdążyliśmy oszczędzić, dostajemy tantiemy z dotychczasowych nośników, wiążemy koniec z końcem. Jednak młodzi, którzy wchodzi w zawód, są w bardzo trudnej sytuacji. Zrobią kilka odcinków serialu dla platformy VOD, a na kolejne zlecenie czasem muszą czekać kilka miesięcy albo kilka lat. Tantiemy z internetu, podobnie jak tantiemy z dotychczasowych nośników, mogłyby być dla nich rodzajem renty na przeczekanie.

Komu przysługiwałyby tantiemy z internetu?

Zgodnie z dyrektywą unijną tantiemy z internetu byłyby wypłacane współtwórcom i wykonawcom utworu.

Według ustawy o prawie autorskim współtwórcami są osoby, które wniosły wkład twórczy w jego powstanie, a w szczególności reżyser, operator, twórca adaptacji utworu literackiego, autor utworów muzycznych lub słowno-muzycznych oraz scenarzysta. Do tego grona zgodnie z nowelizacją ustawy z 2007 r. dołączono także scenografów, choreo-

O co walczą twórcy

- Filmowcy domagają się, by z rocznych przychodów platform wróciło do nich

1,5 proc.

- Według danych Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej platformy VOD generują roczne przychody rzędu

2,6 mld zł

- Stowarzyszenie Filmowców Polskich wyliczyło, że twórcy „Znachora” powinni otrzymać ok.

250 tys. zł

Tantiemy z internetu



grafów, tłumaczy, lektorów i projektantów kostiumów.

Do wykonawców zaliczają się z kolei aktorzy.

Ile pieniędzy filmowcy dostawaliby z tantiem z internetu?

Filmowcy domagają się 1,5 proc. od rocznych przychodów, które w Polsce osiągają wszystkie platformy streamingowe. Według danych Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej platformy VOD generują roczne przychody rzędu 2,6 mld zł. Oznaczałoby to, że platformy byłyby zobowiązane do wypłacenia ok. 39 mln zł Związkowi Autorów i Producentów Audiowizualnych (ZAPA), który po odliczeniu prowizji (zazwyczaj wynosi ona między 10 a 18 proc., ZAPA szacuje, że byłoby to tylko 7,5 proc.) przekazałby pieniądze twórcom.

– To, ile dostaną poszczególni twórcy, zależałoby m.in. od oglądalności danego filmu czy serialu. Stowarzyszenie Filmowców Polskich wyliczyło, że twórcy „Znachora” powinni otrzymać ok. 250 tys. zł, które należałoby podzielić pomiędzy kilkanaście osób – wyjaśnia Brunon Hawryluk.

Z wyliczeń SFP wynika, że reżyser „Znachora” mógłby liczyć na kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ale to jeden z największych polskich hitów Netfliksa w ostatnich miesiącach. W przypadku innych produkcji wynagrodzenia byłyby znacznie mniejsze.

Czy wprowadzenie tantiem z internetu może wpłynąć na cenę subskrypcji Netfliksa?

– Nie walczymy o to, by dostawać pieniądze od podatników, tylko od platform streamingowych. Obawy dotyczące podniesienia cen subskrypcji nie są zasadne – zapewnia Warzecha. – Mówimy o 1,5 proc. przychodu z prawie 2,6 mld. W żadnym kraju na świecie tantiemy nie spowodowały podniesienia cen subskrypcji.

Wtóruje jej Hawryluk, twierdząc, że duże platformy podejmują decyzje o podwyżkach niezależnie od sytuacji w danym

państwie. – Przykłady Francji, USA czy Litwy pokazują, że wprowadzenie tantiem nie wpływa na cenę subskrypcji – dodaje scenarzystą.

Dlaczego polscy filmowcy nie dostają tantiem z internetu?

W 2019 r. Unia Europejska wydała dyrektywę zobowiązującą kraje członkowskie do uregulowania kwestii związanych z prawidłowym i sprawiedliwym funkcjonowaniem prawa autorskiego na rynku cyfrowym. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego za czasów PiS opublikowało projekt nowelizacji ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, który zakładał wprowadzenie tantiem.

Pod koniec 2022 r. Mateusz Morawiecki wstrzymał prace nad nowelizacją. Były już minister cyfryzacji Janusz Cieszyński z PiS tłumaczy, że wprowadzenie tantiem mogłoby wpłynąć na wzrost „cen cyfrowych dóbr kultury”.

W połowie lutego MKiDN kierowane już przez ministra Bartłomieja Sienkiewicza przedstawiło własny projekt nowelizacji. W stosunku do projektu poprzedniego rządu usunięto z niego zapisy dotyczące wypłaty tantiem z internetu.

Filmowcy, którzy czekają na zmiany, nie kryli rozczarowania. – Ministerstwo Kultury przekonuje, że wprowadzi tantiemy w dalszej kolejności. To trwa jednak zbyt długo. Nie mamy pewności, czy to nie są puste słowa. Boimy się, że jeśli to się nie wydarzy teraz, to się nie wydarzy nigdy. Czekamy od pięciu lat. Jesteśmy stracni każdego dnia – mówiła nam kilka dni temu Warzecha.

Reżyserka uczestniczyła 29 lutego w spotkaniu młodych filmowców z ministrem Sienkiewiczem. Szef resortu tego samego dnia oznajmił, że wpisał do projektu ustawy prawo do pobierania przez twórców tantiem wynikających z odzwierciedlenia ich dzieł w internecie. – Będą dostawać tantiemy – zapewnił minister. – Mam nadzieję, że najdalej za dwa, maksymalnie trzy tygodnie nowe prawo pójdzie do parlamentu.

Wpływ na decyzję ministra miała mieć groźba kar, które UE mogłaby nałożyć na Polskę w przypadku nieimplementowania dyrektywy o prawie autorskim. – Wysokość kar, jakie musiałby płacić rząd, wynosiłaby 33 mln zł miesięcznie. Nie możemy do tego dopuścić – powiedział Sienkiewicz. – Próbuujemy uciec spod ostrza gilotyny, którą nastawił poprzedni rząd.

Czy Polsce grozi kara za niewprowadzenie tantiem?

Owszem, nieimplementowanie unijnej dyrektywy może skutkować nałożeniem na Polskę kar. Dyrektywa nie zobowiązuje jednak krajów członkowskich do wprowadzenia konkretnego rozwiązania, jakim są tantiemy.

– Filmowcy twierdzą, że jeśli Polska nie wprowadzi tantiem z internetu, to naruszy unijną dyrektywę 2019/790. To nieprawda. Dyrektywa ta zawiera jedynie postanowienie o zapewnieniu słusznego i proporcjonalnego wynagrodzenia w ramach umów o eksploatację utworów i artystycznych wykonani. Nie ma w niej mowy o tantiemach – mówi nam prof. Ryszard Markiewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego, ekspert od prawa autorskiego.

– Warto zauważyć, że przepisy UE dotyczące wynagrodzeń adresowane są nie tylko do filmowców, ale do wszystkich artystów wykonawców i twórców. Dlatego nikt nie przejmuje się wynagrodzeniami dziennikarzy, pracowników naukowych czy poetów? – zastanawia się prof. Markiewicz. – Działania powinny być prowadzone w szerszym zakresie,



Twórcy będą dostawać tantiemy. Mam nadzieję, że najdalej za dwa, maksymalnie trzy tygodnie nowe prawo pójdzie do parlamentu

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ
na spotkaniu z młodymi filmowcami

a więc uwzględniać także inne rodzaje twórczości i jej eksploatacji.

Czy tantiemy są najlepszym rozwiązaniem?

Tantiemy zapewniają twórcom sprawiedliwe wynagrodzenie za wykorzystywanie ich dzieł. Prof. Markiewicz zwraca jednak uwagę na pewien problem: – Jeżeli wprowadzimy tantiemy, to trzeba się zastanowić, czy nie należy do nich zastosować zasady asymilacji z konwencji berneńskiej o ochronie dzieł literackich i artystycznych. Jeżeli by przyjąć odpowiedź pozytywną, to muszałoby to płacenie w Polsce tantiem nie tylko twórcom z Polski, ale wszystkim innym twórcom na świecie. Dotyczyłoby to podmiotów np. z USA, Japonii czy Ameryki Południowej, i to przy powstaniu asymetrii – bo z tych krajów wynagrodzenie dla polskich twórców z tytułu streamingu nie jest wypłacane.

Mówiąc wprost: działające w Polsce platformy streamingowe musiałby wypłacać wynagrodzenia nie tylko twórcom „Chłopów”, „Zimnej wojny” i „Znachora”, ale także twórcom seriali „Squid Game” czy „Gra o tron”. Jednocześnie polscy twórcy nie dostawaliby tantiem z krajów, w których tego typu prawo nie zostało wprowadzone.

Nieujednolicone prawo w Europie już teraz doprowadza do absurdalnych sytuacji. – Paradoks polega na tym, że polscy filmowcy dostają tantiemy z państw europejskich, które uregulowały prawo – np. z Hiszpanii czy Francji – a Polskie nie. Problem jest taki, że większość polskich filmów i seriali jest oglądana przez rodzimych odbiorców – mówi Hawryluk.

Co, jeśli nie tantiemy?

Jak na sprawę tantiem w internecie reaguje największy gracz na rynku streamingu? – Od zawsze stoimy na

stanowisku, że adekwatne i sprawiedliwe wynagrodzenie za eksploatację utworów w sieci należy się twórcom. Działamy zgodnie z polskim prawem, które przewiduje możliwość bezpośrednich rozliczeń z twórcami w ramach ustaleń kontraktowych – mówi Ilona Lartigue, dyrektorka PR w Netflix Polska. I podkreśla, że Netflix wprowadził „pilota rozwiązania”, dzięki któremu współpracujący z platformą autorzy i wykonawcy mogą dostać dodatkowe pieniądze.

Pod koniec 2022 r. Netflix wyszedł z projektem oferującym wsparcie dla polskich twórców. W ramach pilotażowego programu dodatkowe pieniądze dostają osoby zaangażowane w pracę nad produkcjami firmy. Kwota wynagrodzenia zależy od tego, jaką popularność osiąga dany film lub serial. Chodzi jednak wyłącznie o oryginalne produkcje tworzone na zamówienie Netfliksa. Takimi produkcjami są np. filmy „Znachor”, „Pan Samochodzik i Templariusze”, „Broad Peak”, „Fanfik” czy seriale „Sexify”, „Wielka woda”, „Infamia” czy „Informacja zwrotna”.

Problem w tym, że zdecydowana większość tytułów znajdujących się w bibliotece nie jest oryginalnymi produkcjami Netfliksa. Twórcy odpowiedzialni za stworzenie lwiej części filmów, które obejrzymy na platformie, nadal nie dostają więc wynagrodzenia za eksploatację ich dzieł. Jak rozwiązać ten problem?

Prof. Markiewicz sugeruje, że dodatkowe wynagrodzenia mogłoby twórcom wypłacać producenci, którzy mają prawa autorskie do filmu lub serialu. Netflix lub inne platformy kupują od producentów licencję zezwalającą na udostępnianie dzieła przez określony okres. Producenci mogłoby się więc dzielić z twórcami wpływami ze sprzedaży licencji.

– Dlaczego platforma, która wykupuje odpowiednią licencję i nie jest związana z twórcami umowami, miałaby wypłacać im dodatkowe wynagrodzenie z tytułu streamingu filmów? – zastanawia się prof. Markiewicz. – Uważam, że lepszym rozwiązaniem jest obciążenie tym obowiązkiem producentów filmów. W ten sposób można by ograniczyć wpływ pieniędzy za granicę, gdyż przepis taki obciążałby polskie podmioty, które wypłacałyby tantiemy faktycznie jedynie polskim twórcom – konkluduje ekspert.

Dlaczego inni streamerzy nie poszli śladem Netfliksa i nie wprowadzili dodatkowych wynagrodzeń dla twórców oryginalnych produkcji? Odpowiedź jest banalna: bo mało która firma zamierza dobrowolnie dzielić się zyskami. ●

WWW.NEKOLOGI.WYBORCZA.PL/34305572

Z głębokim smutkiem przyjąłem informację o śmierci

dr. Wita Majewskiego

Posła na Sejm RP I, II i III kadencji,
wykładowcy akademickiego,
wieloletniego pracownika naukowego
Instytutu Nauk Politycznych
Uniwersytetu Warszawskiego.



Rodzinie, Bliskim i Współpracownikom

składam wyrazy współczucia.

Włodzimierz Czarzasty
Wicemarszałek Sejmu RP

Prokurator idzie po awans

Za rządów Piotra Styczewskiego w puckiej prokuraturze doszło do skandalicznych zaniedbań w dwóch sprawach, które poruszyły całą Polskę. A teraz ma być zastępcą gdańskiego prokuratora regionalnego.

Katarzyna Włodkowska

12 lutego Jacek Bilewicz, p.o. prokuratora krajowego, pełnienie funkcji prokuratora regionalnego w Gdańsku powierzył Pawłowi Piko- wi z Lex Super Omnia. Osiem dni później prokurator Pik wysłał do krajówki wnioski dotyczące nominacji swoich zastępców. Na jednego z nich wybrał Piotra Styczewskiego.

– Zapewniam, że dokładnie wszystko przeanalizowałem, wiem, z kim będę pracował – powiedział nam Paweł Pik.

Czy na pewno?

Śmierć dwójki dzieci

W styczniu 2012 r. puckie Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie wydało zgodę na umieszczenie pięciorga dzieci – wtedy od roku do sześciu lat – w rodzinie zastępczej Anny i Wiesława C. Wbrew przepisom nie sprawdzono należycie ich sytuacji osobistej, zawodowej czy majątkowej. Najpierw, 3 lipca, umarł trzyletni Kacper.

Śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci wszczęła Prokuratura Rejonowa w Pucku. Szefem jednostki (2008-15) był wówczas Piotr Styczewski. Do domu rodziców zastępczych, zgodnie z zaleceniami Prokuratury Generalnej do spraw dotyczących przemocy domowej, powinna pojechać doświadczona prokuratora i osoba przeszkolona z prawno-karnych i psychologicznych aspektów zjawiska. Ale tłumaczy Styczewskiemu, że ma małe dziecko i nie czuje się na siłach, by uczestniczyć w oględzinach trzylatka. Na miejsce jedzie asesor z dwuletnią praktyką. I – po konsultacjach ze zwierzchnikami – przyjmuje wersję, że dziecko najprawdopodobniej nieszczęśliwie spadło ze schodów.

W ustaleniu przyczyny śmierci chłopca powinna pomóc biegła sądowa. Ale wydała niejednoznaczna opinię i dodała: „konieczne jest zapoznanie się z aktami sprawy”. Elementem akt były zdjęcia z dnia, w którym Kacper zmarł. Na jego ciele siniaki wzdłuż kręgosłupa, skupisko małych na klatce piersiowej, zasinienie na czole. Asesor prosi pucką komendę, która wykonuje czynności w śledztwie, o ich przesłanie. Ale policji zajmuje to półtora miesiąca, bo – jak potem wytłumaczają – na miejsce zdarzenia pojechali z aparatem analogowym i potrzebowali czasu na zrobienie odbitek. Ani asesor, ani prokurator, który go potem przez moment zastępuje (Michał Rzeźnik, ma teraz zostać szefem Prokuratury Okręgowej w Gdańsku), niepełnego materiału biegłej nie wysyłają. Opinia uzupełniająca nie powstaje.

We wrześniu 2012 r. umiera Klaudia, pięcioletnia siostra Kacpra. Anna i Wiesław zostają zatrzymani dopiero siedem dni później. Biegły stwierdza, że takie obrażenia głowy i wątroby nie mogły powstać w wyniku upadku.

Jak wykaże późniejszy proces sądowy, Anna C. biła dzieci kablem, przypalała zapalniczką, nie podawała jedzenia lub zamykała w kotłowni. Jej mąż nie reagował albo sam kopał. Po śmierci Kacpra nie przestali. Dobrymi rodzicami nie byli też dla dwójki swoich biologicznych dzieci. Wyrok: Anna C. 25 lat więzienia, Wiesław cztery.

Każdy siniak przez upadek ze schodów

Po śmierci Klaudii asesor został odsunięty od śledztwa, a wiceszef jednostki – Bartłomiej K.



RYŚ PIOTR CHATKOWSKI

– wkrótce straci stanowisko. Ówczesny prokurator generalny Andrzej Seremet publicznie obiecuje, że znajdzie winnych zaniedbań. Kontrolę prowadzi Prokuratura Okręgowa w Gdańsku. I już dwa dni później wskazuje odpowiedzialnych: to asesor i jego bezpośredni przełożony, czyli wiceszef jednostki.

Jak przekazuje wtedy mediom rzeczniczka prokuratury Grażyna Wawryniuk, w szczególności stwierdzono brak właściwej reakcji na pojawiające się nowe informacje. Zaznacza, że o przydzieleniu śledztwa asesorowi zdecydował wiceszef prokuratury. Nie była to prawda.

Sprawę przejmuje Piotr Styczewski. Pytany w trakcie konferencji prasowej o zaniedbania w śledztwie odpowiada: „Opinia biegłych po śmierci trzyletniego chłopca potwierdzała wersję rodziców zastępczych, jakoby dziecko spadło ze schodów. Oprócz opinii dysponowaliśmy zeznaniami świadków, sąsiadów i rodziny, ale nie wynikało z nich, żeby działo się tam coś złego”.

Z opinii świadków, sąsiadów i rodziny, co znajduje się w aktach śledztwa i procesu, wynikało, że „wydzierają się na dzieci, aż strach słuchać”. A raz ich biologiczna córka, lat dziewięć, opowiedziała babci, że „Wiesiek ją pobili, bo nie chciała się rozebrać”. Ta sama babcia zeznała na policji: „Oni tego Kacperka nie lubili. A każdy siniak, uraz tłumaczony był upadkiem ze schodów”.

Sąd Najwyższy punktuje prokuraturę

Dyscyplinarki asesora i zastępcy prokuratora rejonowego ciągną się latami. Jeden sąd skazuje, drugi uniewinnia. Aż w 2019 r. wypowiada się Sąd Najwyższy i uniewinnia wiceszefa puckiej jednostki, wcześniej – z powodu zaniedbań w śledztwie – zdymisjonowanego. Uzasadnia to tak:

„Zdaje się umykać z pola widzenia oskarżenia, że od dnia 7 sierpnia do 3 września 2012 roku obwiniony przebywał na urlopie wypoczynkowym, a w tym czasie jego obowiązki przejął prokurator rejonowy [Piotr Styczewski]”.

Sąd ustala też, że to szef jednostki, nie jego zastępca, przydzielił śledztwo asesorowi, a później sam ukierunkował postępowanie na nieumyślne spowodowanie śmierci.

Wobec Styczewskiego dyscyplinarka nie zostaje wszczęta. Za to w kwietniu 2016 r. awansuje on do Prokuratury Regionalnej

w Gdańsku, gdzie razem z prokuratorem Pikiem pracuje w wydziale ds. przestępczości finansowo-skarbowej.

„Polski Fritzl”

Gdy Polska żyje sprawą rodziny zastępczej, w puckiej prokuraturze jest jeszcze jedna bulwersująca sprawa „polskiego Fritzla”. Historię tę ujawniłam w maju 2017 roku w „Dużym Formacie”. Dwa dni później Mariusz S. został skazany na 25 lat więzienia. Zanim doszło do procesu, prokuratura trzykrotnie umorzyła śledztwo.

Mariusz S. przez dwa lata więził żonę w piwnicy. Gwałcił, głodził, a z czasem zaczął zapraszać kuzyna i braci. Molestował dzieci, bił, a starszą – wówczas 4-letnią córkę – zmuszał do znęcania się nad matką i na wiele rzeczy pozwalał patrzeć. Gdy Ewa (imię zmienione) w grudniu 2010 r. zdołała się w końcu uwolnić, najpierw poszła do szpitala zrobić obdukcję po ostatnim pobiciu, a następnie na pucki komisariat. I tym razem nadzór nad policyjnym dochodzeniem przypadł młodej asesorce. Choć wersję matki potwierdziła starsza córka Ewy, asesorka uznała jej zeznania za niewiarygodne – wbrew opinii biegłej psycholożki, która opowieść dziecka opisała jako „samodzielną i wynikającą z własnych przeżyć”. Ewy śledcza nie przesłuchiwała.

Sprawa została umorzona. Ewa złożyła zażalenie, a sąd – we wrześniu 2011 roku – nakazał prokuraturze uzupełnić braki dowodowe: m.in. sprawdzić akta rodziny w pomocy społecznej. Bo urzędniczka twierdziła, co po latach okazało się nieprawdą, że wiele razy była w domu Ewy i Mariusza i niczego niepokojącego nie zauważyła. Ewa tym wizytom przeczyła. Sędzia stwierdziła też, że jeśli prokuratura chce kwestionować opinię psychologiczną, ma powołać innego biegłego.

Policja akt z pomocy społecznej nie ściągnęła, nowego biegłego nikt nie powołał, nowych świadków nie szukano. Asesorka zrezygnowała z zawodu, analiza materiału spadła na Bartłomieja K., wiceszefa prokuratury. A ten 30 listopada 2011 roku ponownie umorzył sprawę, pisząc, że „wyczerpali pełną inicjatywę dowodową”.

Ewa raz jeszcze napisała zażalenie i wysłała je do prokuratury. Podała więcej faktów, wskazała, jak można jej wersję uwiarygodnić, przyznała, że była też gwałcona zbiorowo. Bartłomiej K. wydał zarządzenie o odmowie przyjęcia zażalenia.

Puck pod nadzorem

Do śledztwa wrócono w maju 2013. Było to pokłosie postępowania w sprawie puckiej rodziny zastępczej. Okręgówka kontrolowała akta spraw, w których rozstrzygano z udziałem biegłych o losie dzieci. Analiza wykazała, że pucka prokuratura – wbrew temu, co twierdziła w piśmie wysłanym do Ewy – nie wykonała w całości postanowienia sądu. Nakazano m.in. powołać biegłego lekarza, by ocenił obrażenia na ciele Ewy, opisane w obdukcji. Prokurator zapytał biegłego, czy mogły być wynikiem pobicia. Lekarz sądowy potwierdził, dodając, że nie były poważne (jak mówi Kodeks karny „rozstrój zdrowia trwający nie dłużej niż siedem dni”). Prokuratura wykorzystała to, by powiedzieć Ewie, żeby sprawę kontynuowała samodzielnie. Gdańska prokuratura okręgowa ustaleń Pucka nie zakwestionowała.

Sprawa wróciła w lutym 2016 r. za dzięki pamiętnikom córek Ewy, które do ich szkół zanosila prababka dziewczynek. Były na tyle szczegółowe i wstrząsające, że nikt już nie kwestionował ich doświadczeń.

Szli na przedawnienie

I w tej sprawie zostało wszczęte postępowanie wyjaśniające, ale dopiero po moim reportażu z maja 2017 r. Prokuratura Krajowa przeanalizowała dostępne akta, przesłuchiwała świadków, w tym społecznego kuratora sądowego, pracowników socjalnych, prokuratorów mających wiedzę o śledztwie oraz pracowników administracyjnych i sędziów wejherowskiego sądu rejonowego. A także Ewę – miało to miejsce w Gdańsku w Dzień Kobiet roku 2018.

W kwietniu 2019 rzeczniczka prasowa prokuratury napisała do mnie w mailu, że materiał dowodowy jest teraz poddawany analizie prawno-karnej. W listopadzie roku następnego, że planowane jest postawienie zarzutów ówczesnemu wiceszefowi puckiej jednostki. 8 grudnia 2021 roku skierowano do sądu przeciwko Bartłomiejowi K. akt oskarżenia. Miał odpowiadać za przekroczenie uprawnień i działanie na szkodę interesu Ewy.

Tymczasem, jak ustaliłam nieoficjalnie i opisałam to w swojej książce „Na oczach wszystkich”, w aktach podjętych postępowania w sprawie Mariusza S. znajduje się adnotacja, że prokurator ten umorzył postępowanie na polecenie bądź po uzgodnieniu decyzji ze swoim szefem Piotrem Styczewskiem.

Jak podaje teraz Prokuratura Krajowa, 19 grudnia 2023 roku Sąd Rejonowy w Tczewie umorzył sprawę przeciwko prokuratorowi (w kwietniu będzie rozpatrywane zażalenie). Bo zezwolenie na ściganie go wydał organ nieuprawniony (immunitet uchyliła była już Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego). A poza tym nastąpiło przedawnienie karalności.

Nic się nie stało

Prokuratora krajowego (w tym czasie p.o. Jacek Bilewicz) i generalnego (Adam Bodnar), zapytałam, czy właściwym kandydatem na stanowisko wiceszefa Prokuratury Regionalnej w Gdańsku, czyli największego regionu w kraju, jest akurat Styczewski – biorąc pod uwagę, że w małej prokuraturze, którą kierował, doszło do tak skandalicznych zaniedbań w dwóch bulwersujących opinie publiczną sprawach.

Prokurator Anna Adamiak, rzeczniczka prokuratora generalnego i członkini biura prokuratora krajowego, odpisała, że wniosek o awans jest obecnie analizowany. I że w sprawach przede mną opisanych toczyły się postępowania dyscyplinarne, ale Styczewski był przecież tylko świadkiem, nie przedstawiono mu żadnego zarzutu. „A tylko taka okoliczność wykluczała-by kandydaturę”. Jednocześnie, wbrew Ustawie o dostępie do informacji publicznej, prokurator Anna Adamiak odmówiła nam wglądu do wniosku o awans dla Piotra Styczewskiego. Chcieliśmy go poznać, by zobaczyć, jak zaprezentowano jego drogę zawodową. ●

Kontakt z autorką tekstu przez stronę katarzynawlodkowska.pl

200 zł za godzinę dla lekarza

Na prowadzenie wychodzi aktualnie psychiatria, reumatologia, dermatologia oraz medycyna pracy – pisze Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy, który przeanalizował stawki w ofertach pracy. – Te stawki jeszcze pójdą w górę, a my pójdziemy z torbami – żali się dyrektor szpitala.

Judyta Watoła

„Podkreślamy, że poniższe analizy stanowią informacje o stawkach oferowanych lekarzom w ofertach pracy i nie obrazują średniej pensji osób pracujących w danej specjalizacji” – czytamy na początku raportu OZZL. Chodzi o oferty dla lekarzy, którzy pracują na kontraktach, bo lekarze na etacie to dziś mniej-szość. Dla szpitali jest tak wygodniej, bo lekarza na kontrakcie nie dotyczą limity czasu pracy.

To już drugie takie opracowanie publikowane przez OZZL. Poprzednie dotyczyło ofert pracy z 2022 roku. Teraz można więc było porównać dane z dwóch lat. Łącznie przeanalizowano 5461 ofert, w tym 3418 z roku 2023 roku oraz 2043 oferty z roku 2022, ale mniej niż połowa zawierała stawkę, za jaką szpital czy przychodnia były gotowe zatrudnić specjalistę.

„Stawki ledwie pokrywają inflację”

Średnia oferowana za godzinę pracy w 2023 r. to 198 zł, przy czym mediana wynosiła 180 zł za godzinę. W roku 2022 średnia z ofert wynosiła 179 zł. A zatem rok do roku oferowane stawki wzrosły o 11 proc. OZZL porównuje to z danymi GUS dotyczącymi inflacji. W 2023 roku wyniosła 11,4 proc., przy czym ceny żywności i alkoholu wzrosły o 15,1 proc., ceny energii o 17,5 proc., a ceny paliw do prywatnych środków transportu spadły o 4 proc. Przeciętne wynagrodzenie w gospodarce wzrosło do 7156 zł, czyli o 12,7 proc.

„Analizując te i inne dane, można stwierdzić, że stawki oferowane lekarzom w 2023 r. wzrosły jedynie w wymiarze nominalnym. Ich wartość nabywcza w kontekście inflacji zatrzymała się na podobnym a nawet minimalnie niższym poziomie (...). Generalnie można powiedzieć, że stawki ofert pracy lekarzy ledwie pokrywają inflację i nie rosną szybciej niż inne wynagrodzenia w Polsce” – podsumowują autorzy raportu.

Najlepsze oferty pracy dla lekarzy były w województwie mazowieckim – średnio 226 zł za godzinę. Najmniej oferowały placówki

w województwie świętokrzyskim – 172 zł za godzinę.

Dyrektorów raport „bardzo wkurzył”

Jeśli chodzi o profil placówek, to najwięcej znów oferowały poradnie specjalistyczne. W 2022 r. średnio było to 232 zł za godzinę, a w roku 2023 już 249 zł. Stawki proponowane lekarzom w podstawowej opiece zdrowotnej to 170 zł (w 2022 r. – 156 zł). Najgorsze oferty mają szpitale. W 2022 r. proponowały średnio 141 zł, a zeszłym roku – 163 zł za godzinę. W zestawieniu osobno ujęto jednak oddziały ratunkowe, bo na SOR stawki są wyższe: 162 zł w roku 2022 i 185 zł za godzinę w minionym roku.

Autorzy analizy interpretują to tak: „Ważnym aspektem dotyczącym wynagradzania jest lepsza organizacja pracy w AOS (ambulatoryjnej opiece specjalistycznej) i POZ, która powoduje, że praca godzinowa lekarza jest bardziej efektywna, a co za tym idzie – pracodawca jest skłonny zapłacić za nią więcej”.

Z taką oceną nie zgadzają się jednak dyrektorzy szpitali. – To bzdura. W POZ rosną stawki za zapisanych do lekarza pacjentów, choć wielu wcale do poradni nie przychodzi. W AOS fundusz płaci od wizyty. A my z funduszu dostajemy ryczałt. Jest za niski. A organizacja pracy? No cóż, coś pewnie można by poprawić, ale przeciw lekarzowi trzeba zapłacić za dyżur niezależnie od tego, czy na nim może pospać, czy też haruje całą noc, bo trafił się ciężki chory – mówi „Wyborczej” dyrektor średniej wielkości szpitala w woj. śląskim.

Prosi, by nie podawać jego nazwiska, bo raport OZZL „bardzo go wkurzył”: – To ma mobilizować lekarzy, którzy i tak zarabiają dziś świetnie, żeby żądali jeszcze więcej. Doskonały przepis na kolejne długie.

Psychiatria wyszła na prowadzenie

Raport podaje też, jakie były oferty dla specjalistów z różnych dziedzin. „Niekwestionowana w pierwszym kwartale królowa stawek – urologia – zdecydowanie się już



• Autorzy raportu nie kryją, że chodzi im o to, by lekarze walczyli o wyższe stawki

FOT. JOHNALEXANDR / ISTOCK

Najlepsze oferty

226

ZŁ ZA GODZ.

• to średnia oferowana dla lekarzy w województwie mazowieckim

wysyciła. Na prowadzenie wychodzi aktualnie psychiatria (304 zł/h), reumatologia (300 zł/h), dermatologia (287 zł/h) oraz medycyna pracy (261 zł/h)” – piszą autorzy. Zwracają przy tym uwagę, że wzrost stawki dla psychiatrów wynika z otwarcia sieci „Nasz Gabinet”, która oferuje na komercyjnych zasadach leczenie alkoholizmu i innych uzależnień i otworzyła poradnie w 14 miastach wojewódzkich. W ofertach dla psychiatrów sieć proponowała 400 zł za godzinę, a to według OZZL „znacznie podniosło średnią”.

Duża jest rozpiętość stawek w zależności od wielkości miasta. Najniższe średnie wynagrodzenie oferowano w miejscowościach poniżej 5 tys. mieszkańców w II kwartale 2023 r. (165 zł/h) a średnio najwięcej IV kwartale w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców (269 zł/h).

Stawki dla anestezjologów kształtowały się na poziomie od 150 do 300 zł za godzinę, dla internistów – od 110 do aż 400 zł, a dla neurologów – od 120 do 450 zł. Kardiologom i laryngologom oferowano po 450 zł za godzinę, natomiast ortope-

dom, endokrynologom i pediatrom – maksymalnie po 400 zł.

Najwyższe stawki – po 540 zł za godzinę – pojawiły się w ofertach dla radiologów, reumatologów i urologów.

Zachęcając lekarzy do pracy w poradni specjalistycznej, oferowano im najczęściej (ponad połowa wszystkich ofert) 60-70 proc. stawki, jaką płacił placówce NFZ albo pacjent, który leczył się prywatnie. – W przypadku poradni, które mają kontrakt z funduszem, norma to 50 proc. Nie wierzę, że publiczne szpitale mogą zaoferować lekarzom więcej – mówi prof. Krystian Wita, wicedyrektor Górnośląskiego Centrum Medycznego w Katowicach.

Dyrektor: Jestem straszną kutwą. Muszę się ukrywać

Ta samo słyszymy od innego dyrektora, który podobnie jak nasz pierwszy rozmówca prosi o anonimowość. – Wychodzi na to, że jestem straszną kutwą, bo płacę tylko 50 proc., a anestezjododzy mają u mnie „tylko” po 220 zł na godzinę. Reszta doktorów średnio 160 zł. No kutwa, jak nic. Teraz robię wszystko, żeby nie być w szpitalu i nie przyjmować delegacji niezadowolonych doktorów z żądania-mi kolejnych podwyżek.

Lekarze na etacie – podobnie jak w innych placówkach – są w jego szpitalu w mniejszości. Wynagrodzenie zasadnicze mają jednak wyższe od ustawowego minimum, a więc nie 9,2 tys. zł, ale kilkanaście tysięcy. Do tego dochodzi dodatek funkcyjny (najczęściej na etatach są ordynatorzy), tzw. wysługa lat i wynagrodzenie za dyżury. Wychodzi średnio 20-22 tys. zł miesięcznie,

a więc mniej niż na kontrakcie, tak- że dlatego, że obowiązują ograniczenia w czasie pracy. A że na kontrakcie ich nie ma, to lekarze wystawiają szpitalowi faktury nierzadko na 40-50 tys. zł. – Te stawki jeszcze pójdą w górę, a my pójdziemy z torbami – żali się dyrektor.

Autorzy raportu nie kryją, że chodzi im o to, by lekarze walczyli o wyższe stawki. „Tym którzy uważają, że lekarze „tak” nie zarabiają albo że „więcej” zarabiają, przypomnamy, że ten raport to nie jest analiza, ile zarabiają lekarze, tylko ile można mieć i o ile można się ubiegać. Jeśli czyjeś zarobki znacznie odbiegają od średniej na danym etapie kariery, specjalizacji, miasta itp. to jest sygnał, że może czas negocjować albo szukać lepszej pracy.

I jednocześnie lekarz ma argument w postaci tego raportu, aby pokazać pracodawcy, że jego praca nie jest dobrze wyceniana” – piszą.

Wojciech Konieczny, wiceminister zdrowia z Lewicy, który do niedawna sam kierował szpitalem, przyznaje, że przynajmniej niektórzy, powinni mieć jednak więcej. Chodzi na przykład o ordynatorów. – Patologią jest brak ścieżki awansu zawodowego, czy też jej zaburzenie, bo nie powinno być tak, że rezydent ma wyższą stawkę zasadniczą niż ordynator, który jest specjalistą z doświadczeniem. A w niejednym miejscu tak teraz jest – mówi. Przyznaje jednak, że generalnie lekarskie zarobki w wielu specjalnościach są atrakcyjne: – Ostatnio odwiedziłem szpital, który zatrudnia właśnie anestezjologa, Polaka pracującego dotąd w Norwegii. Ten anestezjolog wraca, bo w Polsce może teraz zarobić lepiej. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34305428

Przed Sądem Rejonowym w Radzynie Podlaskim toczy się postępowanie sygn. akt I Ns 243/23 z wniosku Ewy Wyszyńska-Kartoskiej o zasiedzenie na jej rzecz prawa własności nieruchomości położonej w Międzyrzecu Polskim przy ul. Wiejskiej 12, oznaczonej jako działka nr 783/1 o pow. 0,1005 ha. Nieruchomość ta znajduje się w posiadaniu wnioskodawcy. W związku z powyższym wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swoje prawa do własności nieruchomości, gdyż Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34305026

Zakład Mechaniczny „Siarkopol” Sp. z o.o.
ul. Mechaniczna 6, 39-400 Tarnobrzeg

ogłasza

pisemny przetarg nieograniczony na wykonanie zadania:

Dostawa i montaż przemysłowej kabiny lakierniczej wraz z technicznym pomieszczeniem lakierniczym

Znak 1/2024/ZM

Pełną treść ogłoszenia zamieszczono na stronie internetowej:
www.zmsiarkopol.com.pl

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34305436

Przed Sądem Rejonowym w Radzynie Podlaskim toczy się postępowanie sygn. akt I Ns 162/23 z wniosku PKO BP S.A. w Warszawie z udziałem Katarzyny Marii Weremko i innych o stwierdzenie nabycia spadku po Lechu Stanisławie Przekorzyńskim synu Piotra i Zofii zmarłym w dniu 7 listopada 2020r. w Parczewie mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Parczewie. Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym wypadku mogą być pominięci w postanowieniu

o stwierdzenie nabycia spadku.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34305451

W Sądzie Rejonowym Lublin-Zachód w Lublinie toczy się postępowanie pod sygn. akt VIII Ns 694/22

o stwierdzenia nabycia spadku po Genowefie Pałce z domu Kucio

(córcie Andrzeja i Marianny), zmarłej dnia 6 czerwca 2022 r. w Trzydniu Dużym-Kolonia, ostatnio stale zamieszkałej w Lublinie.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34305536

W Sądzie Rejonowym Gdańsk - Południe w Gdańsku toczy się pod sygn. XII Ns 726/22 postępowanie w sprawie z wniosku Asekuracji Sp. z o.o. o stwierdzenie nabycia spadku po Grzegorz Przybylskim, zmarłym 25 maja 2020 roku w Gdańsku, ostatnio stale zamieszkałego w Gdańsku przy ul. Worcella 42/5. Sąd wzywa spadkobierców Grzegorza Przybylskiego, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Ukraińcy chcą zatrzymać Rosjan w obwodzie donieckim

Rosyjskie wojska kontynuują ataki w obwodzie donieckim wykorzystując swoją przewagę. Przedłużające się problemy z zaopatrzeniem ukraińskiej armii rodzą spekulacje na temat nowego ataku na Kijów.

Piotr Andrusieczko

KORESPONDENCJA Z KIJOWA

Rosyjska armia od jesieni prowadzi działania ofensywne przede wszystkim na kierunku wschodnim.

Po zajęciu w lutym Awdiijiwki, wojska nacierają dalej, na zachód od tego miasta. Można to tłumaczyć do pewnego stopnia euforią po sukcesie, ale Rosjanie przed wszystkim starają się wykorzystać zmęczenie ukraińskich żołnierzy i problemy z amunicją (spowodowane mniejszą pomocą ze strony zachodnich partnerów, przede wszystkim USA).

Dlatego rosyjskie dowództwo nie liczy się ze stratami, by zrealizować jeden z celów inwazji – zająć cały obwód doniecki. To z kolei mogłoby zagrozić bezpośrednio dużym ośrodkom przemysłowym: Zaporozu, Dniepru i innym ważnym miastom regionu.

Rosjanie wykorzystują sukces w Awdiijiwce

W ciągu dwóch tygodni od zajęcia Awdiijiwki rosyjskim wojakom udało się przejść kolejnych kilka kilometrów w kierunku zachodnim. Obecnie ciężkie walki toczą się na linii miejscowości Orliwka – Toneńke – Berdyczi. To ponad 5 km na zachód od Awdiijiwki.

Rosjanie wykorzystują swoją przewagę w ludziach i broni, a dla osiągnięcia dalszych sukcesów rzucają do boju rezerwy. Nadal na dużą skalę wykorzystują samoloty do atakowania ukraińskich pozycji bombami szybującymi, nie bacząc na to, że w ciągu miesiąca stracili (według danych Ukraińców) już 15 Su-34 i Su-35 (wśród ukraińskich komentatorów wojennych pojawił się nawet termin „lotnicze mięsne szturmy” – analogia do „mięsnych szturmów” rosyjskiej piechoty, które pochłaniają życie wielu żołnierzy).

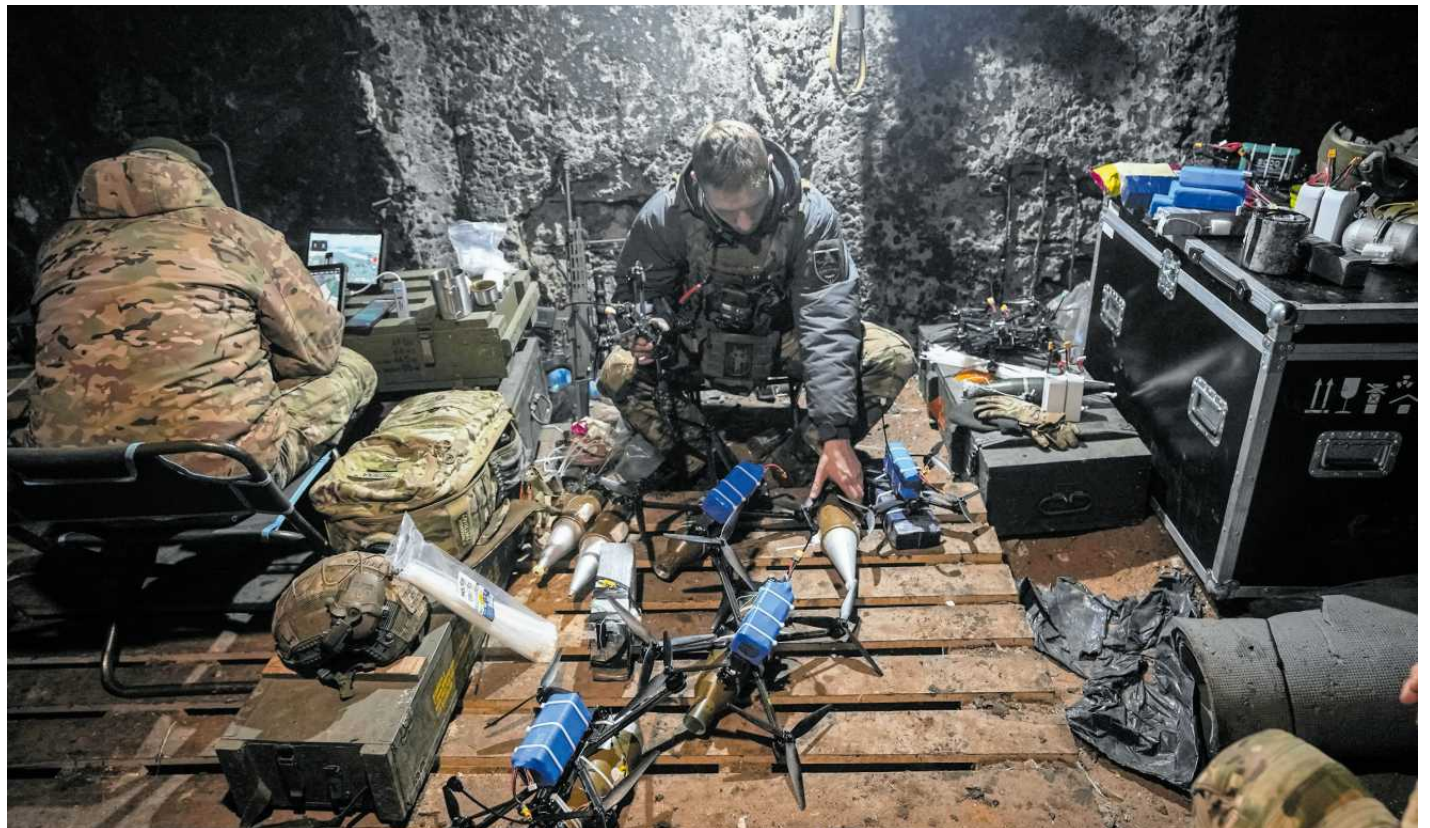
Trudna sytuacja na tym odcinku frontu spowodowała, że 29 lutego przyjechał tam nowy naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy Oleksandr Syrski.

– Nasze brygady toczą zacięte walki z przeważającymi siłami wroga. Ten ponosi znaczne straty w ludziach i sprzęcie, ale uparcie wciąż atakuje nasze pozycje, odnosząc sukcesy w niektórych miejscach – stwierdził Syrski. I zwrócił uwagę na błędne oceny niektórych dowódców dotyczące sytuacji i możliwości przeciwnika, „co bezpośrednio wpłynęło na stabilność obrony na pewnych kierunkach”. Nakazał więc wydzielenie dodatkowych zapasów amunicji i przerzucenie rezerw bojowych.

Rubieże obronne nie są należycie przygotowane

Kiedy ukraińskie siły wycofywały się z Awdiijiwki, dowództwo tego kierunku poinformowało, że oddziały podejmą obronę na wcześniejszej przygotowanych pozycjach. Jednak niektórzy analitycy i wojskowi zaczęli zwracać uwagę, że rubieże obronne nie zostały należycie przygotowane.

Na tym obszarze znajduje się kilka przeszkód wodnych, które mogą pomóc ukraińskiej obronie. Ale, jak podkreślają komentato-



• Ukraińscy żołnierze z 92. brygady szykują drona w ziemiance na linii frontu nieopodal Bachmutu. Luty 2024 r. FOT. REUTERS / STRINGER

*Czy istnieje zagrożenie? Tak.
Czy jest teraz większe niż sześć
miesięcy temu? Prawdopodobnie
tak. Czy rośnie taka tendencja?
Prawdopodobnie tak. Czy
rozumieją ten trend w Ukrainie?
Prawdopodobnie tak. Czy się
przygotowują? Tak*

TARAS CZMUT

szef fundacji „Wróć Żywym”

o możliwości ponownego ataku Rosjan na Kijów

rzy, one same nie zatrzymają rosyjskiej armii; nabierają znaczenia, kiedy wokół zbudowane są fortyfikacje, a sama obrona dysponuje odpowiednią liczbą żołnierzy i ciężką bronią.

Według eksperta wojskowego Jurija Butusowa, rosyjskie wojska nie szczędzą sił, ponieważ chcą polepszyć swoje położenie taktyczne i zbliżyć się do ważnych miast w obwodzie donieckim – Selydowe i Kurachowe – które ogrywają istotną rolę w logistyce armii Ukrainy. Obecnie linia frontu przebiega ok. 10 km od Kurachowe i 20 km od Selydowe.

Rosjanie chcą zająć Czaśiw Jar i obwód doniecki

W maju ubiegłego roku zakończyła się bitwa o Bachmut. Rosjanie zajęli go po wielu miesiącach walk. Latem Ukraińcy przeprowadzili tam szereg kontruderzeń, odzyskując niektóre pozycje wokół miasta.

Kiedy jesienią Rosjanie zaczęli szturmować Awdiijiwkę, równocześnie uderzyli na zachód od Bachmutu. W listopadzie udało im się im zająć wieś Chromowe i zaczęli prowadzić atak w stronę sąsiednich miejscowości – Bohdaniwka i Iwaniwskie. Obecnie walki toczą się już w obu wsiach, a ich zdobycie otworzyłoby Rosjanom drogę na miasto Czaśiw Jar, które w trakcie walk o Bachmut stanowiło jego zaplecze logistyczne.

Rzecznik Operacyjno-Strategicznego Ugrupowania Wojsk „Chortyca” Ilja Jewłasz w niedawnej rozmowie z ukraińską redakcją „Radio Swoboda” potwierdził, że Rosjanie koncentrują znaczne siły na kierunku Czaśiw Jar, z zamiarem przerwania obrony.

Analitik wojskowy Kostjanyn Maszowec z grupy „Informacyjny Sprzeciw” pod koniec lutego zwrócił uwagę, że Rosjanie sprowadzili do walk w okolicy Iwaniwskie elitarne oddziały II. Samodzielnej Brygady Desantowo-Szturmowej. Od Czaśiw Jar dzieli to miejsce jedynie 2,5 km.

Rzecznik prasowy „Chortycy” podkreślił, że Czaśiw Jar chroni kilka linii obrony, które składają się m.in. z pól minowych i przeszkód przeciwczołgowych.

– Czaśiw Jar przygotowywano do obrony od dawna, kiedy przeciwnik zdołał zdobyć Bachmut. Było zrozumiałe, że należy stworzyć dodatkowe rubieże obrony – podkreślił Ilja Jewłasz.

Eksperti wracają uwagę, że miasto ma wygodną pozycję obronną: góruje nad resztą terenu, a na wschodzie i południu chronią je przeszkody wodne. Ponadto już podczas wcześniejszej wojny w Donbasie znajdował się tam sztab Operacji Połączonych Sił i już wtedy przygotowywano fortyfikacje.

Zdobycie Czaśiw Jar ma dla Rosjan znaczenie strategiczne. Otworzyłoby im drogę do zajęcia najważniejszych miast w obwodzie donieckim, które pozostają pod ukraińską kontrolą – Konstantynówki, Kramatorska i Słowiańska.

Czy Rosja znów uderzy na Kijów?

W okolicach drugiej rocznicy rosyjskiej inwazji na Ukrainę [24 lutego 2024] w sieciach społecznościowych i mediach zaczęło się pojawiać coraz więcej spekulacji na temat tego, czy Rosja może powtórzyć próbę zajęcia Kijowa (w rzeczywistości od dwóch lat nie przestaje się o tym mówić).

29 lutego amerykańska agencja informacyjna Bloomberg podała, że ukraińscy urzędnicy są zaniepokojeni możliwością przerwania obrony przez rosyjskie wojska do lata, jeśli zachodni partnerzy nie zwiększą dostaw broni i amunicji. Zaznaczono, że Władimir Putin nie zrezygnował z zajęcia ukraińskiej stolicy oraz Odessy, która zabezpiecza Ukrainie dostęp do szlaków morskich.

Wcześniej, w lutym wywiadzie dla rosyjskich mediów propagandowych, Dmitrij Miedwiediew, zastępca szefa Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, powiedział, gdzie Rosja „powinna się zatrzymać” w Ukrainie: – Prawdopodobnie powinien to być także Kijów. Jeśli nie teraz, to za jakiś czas. Z dwóch powodów: Kijów to miasto rosyjskie; i stąd idzie zagrożenie dla istnienia Federacji.

Ukraińscy wojskowi uspokajali już w styczniu, że w strefie przygranicznej z Białorusią i Rosją, na północy, nie widać przygotowań ze strony rosyjskiej armii do prowadzenia działań zaczepnych.

25 lutego podczas Forum „Ukraina. Rok 2024” szef wywiadu wojskowego Kyryło Budanow zaprzeczył informacjom o możliwym ataku na Kijów: – Nas już dwa lata straszą, że „zaraz przyjdą”. Zmęczyłem się już odpowiadaniem, że to nie tak...

Ale ukraińscy eksperci wskazują, że dopóki trwa wojna, takie niebezpieczeństwo wciąż istnieje i trzeba być przygotowanym.

– Czy istnieje takie zagrożenie? Tak. Czy jest teraz większe niż sześć miesięcy temu? Prawdopodobnie tak. Czy rośnie taka tendencja? Prawdopodobnie tak. Czy rozumieją ten trend w Ukrainie? Prawdopodobnie tak. Czy się przygotowują? Tak – stwierdził w lutym Taras Czmut, szef fundacji „Wróć Żywym”, jednej z największych, jakie pomagają ukraińskiej armii.

Ale, jak podkreślają eksperci, przygotowania do ewentualnego ataku na Kijów będą widoczne, tak jak to było na początku 2022 r. Do tego obecna sytuacja znacząco się różni. Wtedy Rosjanie, mimo ostrzeżeń, działali z zaskoczenia. Udało im się szybkim marszem dojść do Kijowa od strony Białorusi, a także podejść do stolicy od wschodu. Teraz taki scenariusz jest mało prawdopodobny. Dlatego, jeśli Rosja chciałaby zaatakować znów Kijów, musiałaby zgromadzić siły kilka razy większe niż w 2022 r. Do tego stolica posiada obecnie silniejszą obronę przeciwlotniczą, co praktycznie wyklucza zastosowanie przez Rosję lotnictwa, jak to było w 2022 r.

Ukraińcy eksperci, podobnie jak i zachodni, są natomiast zgodni w jednym: ten rok będzie dla Ukrainy bardzo trudny. Rosja wykorzystuje swoją przewagę, a paraliż amerykańskiej pomocy może drogo kosztować obrońców kraju. ●

Pożegnanie opozycjonisty

Żałoba po Nawalnym pokazuje odwagę Rosjan

Żałobna operacja specjalna nakazana przez Władimira Putina okazała się porażką, bo pokazała światu jego bezwzględnie okrutne oblicze. Rosjanie wciąż żegnają zamęczonego w łagrze opozycjonistę Aleksieja Nawalnego

Radziwiłowicz



Mimo terroru i całkiem realnego zagrożenia zaskakująco wielu Rosjan odważyło się wziąć udział w pogrzebie Aleksieja Nawalnego. Zamęcili tym kreślony przed rychłymi już „wyborami” obraz powszechnego poparcia dla Putina.

...

Pożegnać się z zamęczonym ponad dwa tygodnie temu więźniem łagru Polarny Wilk przyszło w piątek 1 marca do cerkwi w stołecznym Marino i potem na cmentarz Borysowski 16,5 tys. ludzi. Już po uroczystościach, w sobotę i w niedzielę, kolejni – i nadal bardzo liczni – wciąż składają kwiaty na mogile.

Reakcja na tragedię, w istocie protest przeciwko zbrodni popełnionej przez pana Kremla, okazała się mocna. Kiedy dziewięć lat temu – a wtedy terror putinowski był nie tak bezwzględny jak dziś – Moskwa żegnała się z opozycyjnym politykiem Borysem Niemcowem, do Centrum Sacharowa (dziś zlikwidowane), gdzie wystawiono trumnę zamordowanego przeciwnika Władimira Putina, przyszło znacznie mniej żałobników.

A teraz uczestniczenie w pogrzebie łączy się z niepomiernie większym ryzykiem. Skrupulatnie kontrolowana przez jawne i tajne policje Moskwa ma choćby znakomity system rozpoznawania twarzy. Każdy, kto zdecydował się przyjść na pogrzeb, rozumiał, że władze go zidentyfikują, odnotują jego obecność i – prędzej czy później – mogą po swojemu wyciągnąć konsekwencje.

...

Putinowi żałobna operacja specjalna – a w takim charakterystycznym dla siebie stylu kazał organizować ostatnią posługę politycznego konkurenta – się nie udała.

Dzięki odwadze poddanych okazała się porażką, bo pokazała światu jego bezwzględnie okrutne oblicze.



• Kolejka przed cmentarzem Borysowskim, na którym został pochowany Aleksiej Nawalny
FOT. REUTERS / STRINGER

Tysiące Rosjan, którzy pokonali swój strach i przyszli na uroczystości, zamęcili starannie kreślony przed zbliżającymi się „wyborami” prezydenckimi obraz powszechnej i pełnej akceptacji poczynąń niezmiennego przywódcy

Najpierw jego sadyści z Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej próbowali wymusić na Ludmile Nawalnej, matce zamordowanego, zgodę na tajny pogrzeb tylko w obecności najbliższych. Szantażowali, że „trup gnije”, więc zakapią go w sekrecie pod płotem łagru.

Potem nie wydawali rodzinie ciała, bo nie chcieli dopuścić, by pogrzeb odbył się wkrótce przed dorocznym orędziem Putina, zapowiadany jako wielkie, radosne wydarzenie.

Tymczasem starannie wybierali miejsce dla uroczystości żałobnych. Wyznaczyli Marino, odległy od centrum stolicy niebogaty rejon, gdzie mieszkał Nawalny. Tę okolicę mają dobrze opracowaną oddziały szturmowe poli-

cji. Potencjalnie groźne demonstracje (choćby nacjonalistyczne Ruskie Marsze) władze – jeśli już musiały – godziły się przeprowadzać właśnie tam. Bo gdyby przerodziły się w zamieszki, OMON-owi na tamtejszych szerokich ulicach łatwiej byłoby użyć ciężkiego sprzętu i rozprawić się z ich uczestnikami.

Powiodło się Kremlowi także z miejscową cerkwią Ikony Matki Bożej Ukój Moje Smutki – jest niewielka i oddana w ręce, na których można polegać. Proboszcz protojerzej Anatolij Rodionow jest zaliczany do duchownych „zigujących”, jak w Rosji określa się osoby faszyzujące. W jego parafii dzieci piszą listy, zbierają podarki dla żołnierzy „najlepszej armii świata”, zaś on sam modli się nie o pokój, lecz o „zwycięstwo”. Ma liczne ordeiry od popierającego wojnę w Ukrainie patriarchy Cyryla.

Żałobna operacja specjalna, starannie przygotowana przez pana Kremla i jego ludzi wywodzących się ze służb specjalnych, nie zapobiegła jednak temu, czego obawiał się Putin. Tysiące Rosjan, którzy pokonali swój strach i przyszli na uroczystości, zamęcili starannie kreślony przed zbliżającymi się „wyborami” prezydenckimi obraz powszechnej i pełnej akceptacji poczynąń niezmiennego przywódcy.

Ze słynnym opozycjonistą żegnała się nie tylko Moskwa. Z kwiatami pod pomniki ofiar represji politycznych przychodzili w piątek licznie także mieszkańcy innych miast. Policjanci i „nieznani sprawcy po cywilnemu” starali się jak najszybciej usuwać wiązanki. Za złożenie kwiatów zatrzymano około 150 osób.

...

A można się spodziewać dalszego ciągu. Nawalny tuż przed śmiercią namawiał z łagru Rosjan, by 17 marca, w dniu „wyborów” prezydenckich, przychodzili na głosowanie w samo południe, bo tak właśnie, gromadząc się tłumnie w lokalach, mogą pokazać, że są przeciwni polityce tego, kto niemal już ćwierć wieku rządzi krajem.

Trudno się spodziewać tłumów we wszystkich 89 tys. lokali wyborczych w całym kraju, ale symboliczny protest w dużych miastach może się udać.

Wkrótce po wyborach przypadne 40. dzień od śmierci opozycjonisty, a to jest moment, kiedy wspomina się zmarłego w modlitwach – w cerkwi lub nad mogiłą. Duchownym władze kategorycznie zabroniły modlić się w świątyniach za duszę Nawalnego, ale na cmentarzu Borysowskim znówu będzie ludno. ●

Wacław Radziwiłowicz

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34305580

STAROSTA KUTNOWSKI

wykonujący zadania z zakresu administracji rządowej

uprzejmie informuje o zamiarze ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości położonej w gminie Żychlin, obrębie ewidencyjnym **Dobrzelin**, oznaczonej w ewidencji gruntów i budynków jako działka **nr 98/1 o powierzchni 0,79 ha**. Działka posiada nieuregulowany stan prawny.

Wyżej wymieniona nieruchomość niezbędna jest dla realizacji przez Energa – Operator S.A. z siedzibą w Gdańsku celu publicznego polegającego na przebudowie istniejącej napowietrznej linii elektroenergetycznej WN 110 kV.

Zgodnie z art. 114 ust. 1 i 3 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2023 r., poz. 344 ze zmianami) wzywa się osoby, którym przysługuje prawo rzeczowe do przedmiotowej nieruchomości, o **zgłoszenie się z dokumentami własności** do Wydziału Geodezji, Kartografii i Gospodarki Nieruchomościami Starostwa Powiatowego w Kutnie przy ulicy Królowej Jadwigi 7 **w nieprzekraczalnym terminie dwóch miesięcy od ukazania się ogłoszenia**.

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34305313

Sygn. akt I Ns 1044/22

(w odpowiedzi należy podać datę i sygn. akt)

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Piotrkowie Trybunalskim zawiadamia o toczącym się w sprawie I Ns 1044/22 postępowaniu z wniosku Moniki Warych, Aleksandry Warych z udziałem Mileny Piejek, Daniela Piejka, Mariusza Zawiszy, Marty Piejek, Łukasza Zawiszy o stwierdzenie nabycia spadku po spadkodawcy Wiesławie Henryku Jasienie (Jasion) – synu Czesława i Kazimierzy, zmarłym w dniu 19 stycznia 2022 roku w Piotrkowie Trybunalskim, ostatnio stale zamieszkałym w Piotrkowie Trybunalskim, wzywając zainteresowanych – spadkobierców spadkodawcy, aby w terminie trzech miesięcy od dnia publikacji niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swoje prawa do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34305404

Ogłoszenie

Sąd Rejonowy Poznań – Nowe Miasto i Wilda w Poznaniu I Wydział Cywilny ogłasza, że w tut. Sądzie pod sygn. I Ns 1054/21, toczy się postępowanie z wniosku TF Banku AB (sp. z o.o.), oddział w Polsce z siedzibą w Gdańsku – o stwierdzenie nabycia spadku po Aleksandrze Marii Jezierskiej, córce Miłostawa i Antoniny, zmarłej 9 grudnia 2020 r. w Poznaniu, ostatnio stale zamieszkałej w Poznaniu. Sąd wzywa spadkobierców po Aleksandrze Marii Jezierskiej, córce Miłostawa i Antoniny, aby zgłosili się do Sądu Rejonowego Poznań – Nowe Miasto i Wilda w Poznaniu, do I Wydziału Cywilnego, do sprawy I Ns 1054/21, w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia i udowodnili swe prawa do spadku po Aleksandrze Marii Jezierskiej, w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Aleksandrze Marii Jezierskiej.

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34305400

Sąd Rejonowy Poznań – Nowe Miasto i Wilda w Poznaniu, I Wydział Cywilny, ogłasza, że w tut. Sądzie pod sygn. I Ns 468/21 toczy się postępowanie z wniosku Open Finance Wierzytelności Detalicznych Niestandaryzowany Sekurytyzacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty,

o stwierdzenie nabycia spadku po Urszuli Rodziejczak,

córki Władysława i Jadwigi, urodzonej 29 września 1945 r. w Poznaniu, której ostatnie stałe miejsce pobytu miało miejsce w Poznaniu zmarłej w dniu 5 lipca 2017 r. w Poznaniu.

Sąd wzywa spadkobierców Urszuli Rodziejczak, aby zgłosili się do Sądu Rejonowego Poznań – Nowe Miasto i Wilda w Poznaniu do I Wydziału Cywilnego do sprawy I Ns 468/21 w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia i udowodnili swe prawa do spadku po Urszuli Rodziejczak w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po w/w osobie.

Ireneusz Sudak

– Zabronilem mojej córce podróży pociągami. Nie mam dowodów, ale podejrzewam, że częste awarie na kolei mogą być efektem działania sił zewnętrznych – mówił na spotkaniu z dziennikarzami ekspert ds. cyberbezpieczeństwa, który zastrzegł, żeby tych słów nie cytować pod nazwiskiem.

To było na długo przed wybuchem afery Newagu, gdy okazało się, że pociąg o masie ponad 100 ton można było zdalnie włączać i wyłączać jak dziecięcą kolejkę. Informatycy z grupy Dragon Sector odkryli, że w pociągach Newagu ktoś z otoczenia firmy (Newag temu zaprzecza), prawdopodobnie celowo, wprowadził różne blokady. Ostatecznie to właśnie hakerzy z Dragon Sector uruchomili pociągi.

Skoro wystarczyło, że „haker wcisnął przyciski na konsoli” w przypadku pociągu, to dlaczego nie miałyby się tak stać w przypadku zdalnie sterowanych liczników prądu? Wkrótce każdy z nas będzie miał nowy, inteligentny licznik. Czy będzie bezpieczny? I czy kraj jego pochodzenia ma tu coś do rzeczy?

Energetyczne kuku

Do 2025 r. co czwarty licznik w Polsce ma być inteligentny. Energetycy wołają nazwę: licznik zdalnego odczytu. Bo rzeczywiście z inteligencją te urządzenia nie mają wiele wspólnego – ich wyjątkowość polega na tym, że dzięki wbudowanemu specjalnemu protokołowi komunikacyjnemu potrafią połączyć się z zakładem energetycznym w czasie rzeczywistym i przesyłać informację o zużyciu prądu. Łączność, w zależności od modelu, zapewnia albo ten sam kabel, którym płynie prąd, albo sieć komórkowa.

Po co mieć taki bajer? Żeby praca inkasenta, który ręcznie spisuje stan licznika stała się zbędna i żeby można było korzystać z nowych ofert sprzedaży prądu – z cenami dynamicznymi, czyli zmieniającymi się w ciągu dnia. To ma nas zachęcić do korzystania z energii, gdy jest jej dużo i jest tania. Taryfy ze sztywną ceną przez całą dobę to pomysł rodem z XX wieku.

Docelowo dokładne opomiarowanie milionów odbiorców zaowocuje lepszym i bardziej efektywnym zużyciem prądu i jest częścią europejskiej transformacji energetycznej.

Wiele osób ma takie liczniki już teraz, np. większość prosumentów (czyli tych, którzy jednocześnie produkują energię i ją konsumują). Najwięcej liczników wymieniła do tej pory Energa – ma już ich 2 mln na 3,3 mln klientów, a najmniej PGE – kilkaset tysięcy na 5,5 mln klientów.

Polska wchodzi w kulminacyjną fazę operacji wymiany liczników – potrzebujemy ich kilkanaście milionów. Grupy energetyczne organizują przetargi, klienci dostają informacje o wymianie liczników (koszty tej operacji zaszyte są w taryfie za dystrybucję prądu).

Firmy energetyczne chciałyby kupować liczniki tanio, konsumenci też raczej nie lubią, jak rosną im faktury za energię. Tańsza produkcja jest w Chinach. Ale czy produkty made in China są bezpieczne? I czy w ogóle działają już w Polsce?

Chińskie liczniki opanują Warszawę?

Od kilku miesięcy trwa wojna podjazdowa między producentami liczników energii. Wcześniej latami nie działo się na tym polu nic szczególnego, bo i Polska nie była dużym rynkiem wymiany liczników energii elektrycznej. To się zmienia dopiero teraz.

Po jednej stronie jest polski, notowany na Gieldzie Papierów Wartościowych Apator. Po drugiej firma Esmetric. Oficjalnie partnerzy i uczestnicy zdro-



Klik i prąd wyłączony

Trwa inwazja Chin na Tajwan, rosyjskie pułki zajmują przesmyk suwalski, a w centrum operacji specjalnych pod Pekinem major Hu Wei wyłącza nam prąd. – To opowieści z mchu i paproci. Przykład zhakowanych pociągów Newagu pokazuje, że najciemniej bywa pod latarnią. Ryzykiem jest czynnik ludzki – przekonują eksperci.

wej, rynkowej rywalizacji. Ale pod dywanem wrze.

Jesienią Apator w raporcie przygotowanym wspólnie z firmą ComCERT (z grupy Asseco), która zajmuje się kwestiami cyberbezpieczeństwa (współpracuje z rządem czy organami unijnymi), przedstawił ekspertyzę na temat bezpieczeństwa nowych, inteligentnych liczników i wystosował apel do parlamentarzystów i rządu o zmiany w prawie i uszczelnienie kwestii bezpieczeństwa.

Spośród ok. 4 milionów tzw. inteligentnych liczników energii elektrycznej, które już funkcjonują w Polsce, połowa pochodzi spoza Unii Europejskiej, a brak jakiejkolwiek standaryzacji pod względem cyberbezpieczeństwa rodzi poważne zagrożenia – wynika z ekspertyzy. Jeśli coś jest spoza UE i w dodatku „rodzi zagrożenia”, to może być albo rosyjskie, albo chińskie. Rosja nie dostarcza na nasz rynek liczników, więc zostają Chiny.

– Warszawa stanie się jedyną stolicą europejską, w której 100 proc. liczników będzie produkcji chińskiej – ostrzegął prezes Apatora Maciej Wyczasany.

W domyśle mogą być to urządzenia, które potencjalnie łatwiej zainfekować niechcianym oprogramowaniem. Ale czy rzeczywiście są chińskie? I na czym w ogóle ma polegać zagrożenie?

Zainteresował się Macierewicz

W Warszawie firma Stoen Operator, należąca do koncernu E.ON (Stoen jest dystrybutorem prądu na terenie Warszawy) na dostawcę liczników wybrała polsko-litewskie konsorcjum firm Esmetric i litewskiej Elgamy. Ta druga firma już w czasach ZSRR była dużym producentem liczników dla „demoludów” (czyli państw socjalistycznych, w tym PRL-u), ma własną fabrykę pod Wilnem.

Esmetric to polska firma działająca na pograniczu telekomunikacji i informatyki, której korzenie sięgają 2008 r. Należy do biznesmena Marka Czerady-

sa, właściciela notowanej na GPW grupy Arcus (zajmuje się usługami przetwarzania dokumentów elektronicznych). Liczniki dostarcza na polski rynek od kilkunastu lat. Najpierw współpracowała z moldawską firmą ADD. W 2009 r. w trakcie posiedzenia sejmowej Komisji Energii poseł PiS Antoni Macierewicz zadał ówczesnemu wiceministrowi skarbu państwa, nadzorującemu sektor energetyczny Janowi Buremu z PSL kilka pytań o działalność firmy ADD, m.in. o agencjonalną przeszłość jej dyrektorów i „sowiecką konstrukcję” liczników.

Relację i artykuł o licznikach zamieściła w 2017 r. prawicowa „Gazeta Finansowa”. Współpraca z ADD firmie Esmetric przestała się układać, zaczęła więc kooperować z litewską – czyli unijną – firmą Elgama.

Esmetric mocno rozpycha się na rynku, podgryzając Apatora – jej produkty są tańsze, a niska cena, zdaniem konkurencji, ma wynikać z niższych kosztów produkcji w Chinach.

Zapytaliśmy Esmetric o kwestie bezpieczeństwa i miejsce produkcji.

– Produkcujemy nasze liczniki według wspólnego projektu wielu zespołów w ramach dwóch firm, tj. Esmetric i litewskiej Elgama-Elektronika, która dysponuje zakładem produkcyjnym w Wilnie. Zarówno liczniki energii, jak i proces produkcji, są certyfikowane według najwyższego poziomu H1 (przewidzianego w dyrektywie MID z 2014 r., odnoszącej się do rynku przyrządów pomiarowych). Fabryka na Litwie posiada takie uprawnienia do produkcji liczników – mówi nam Piotr Golik, prezes Esmetric.

• **Docelowo dokładnie opomiarowanie milionów odbiorców zaowocuje lepszym i bardziej efektywnym zużyciem prądu**

FOT. JOVANMANDIC / ISTOCK

A co z produkcją w Chinach?

– Jak każdy inny producent w Europie, ale i na świecie, korzystamy i importujemy z Azji (również z Chin) część podzespołów – np. styczniki, wyświetlacze czy układy scalone, ale nie ma to wpływu na bezpieczeństwo – zapewnia Golik.

Produkowana w Chinach elektronika jest praktycznie w każdym urządzeniu. Czy w licznikach może stwarzać zagrożenie?

Ryzyko nie w krzemie, ale w białku

Niektóre kraje UE, a także np. Wielka Brytania, nie dopuszczają chińskich firm do przetargów na budowę części infrastruktury telekomunikacyjnej, np. sieci 5G czy kamer przemysłowych. Właśnie z uwagi na kwestię cyberbezpieczeństwa. Ale w sprawie liczników nie ma żadnych unijnych rekomendacji dotyczących miejsca produkcji czy kraju pochodzenia komponentów.

– Sam chip nie jest aż takim zagrożeniem – chodzi o to, jakie jest oprogramowanie. A to jest już w 100 proc. nasze. Oprogramowanie liczników azjatyckich wgrywane jest w Azji – tłumaczyli na spotkaniu z dziennikarzami przedstawiciele Apatora.

– U nas jest tak samo. Z punktu widzenia bezpieczeństwa kluczową rolę odgrywa oprogramowanie, którego właścicielem mającym pełną kontrolę jest nasz litewski partner. To my wspólnie z Elgamą projektujemy urządzenia i obydwa zespoły dokładnie wiedzą, jakie podzespoły znajdują się w środku – odpowiada Piotr Golik.

Skąd więc w ogóle informacja, że na polski rynek trafiają chińskie liczniki? Bo rzeczywiście chińskie firmy zaczęły w ostatnim roku, za pośrednictwem polskich kooperantów, startować w przetargach i mocno zaniżać ceny. W kilku przypadkach nawet wygrały, ale póki co skala dostaw jest mała i sięga kilkunastu-kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Licznik nie jest podłączony do sieci internetowej, ale do odseparowanej sieci firmy energetycznej, która dysponuje kluczami szyfrującymi do takich urządzeń oraz stale nadzoruje ruch w sieci. Eksperci tłumaczą, że ryzyko nie leży w sprzęcie czy mikroczipach, ale – jak mówią informatycy – „w czynniku białkowym”. Czyli po prostu w człowieku.

– Prawdziwym ryzykiem jest, jak zawsze, kiedy mówimy o cyberbezpieczeństwie, czynnik ludzki. Zdalne wyłączenie liczników możliwe jest tylko u operatora sieci dystrybucyjnej i mogą to zrobić tylko osoby z najwyższymi uprawnieniami – wyjaśnia Piotr Golik.

Bez certyfikacji

Czy chińskie oznacza gorsze? Przykład Newagu pokazał, że to nie kraj pochodzenia może być problemem. W przypadku pociągów okazało się, że najciemniej jest pod latarnią, a ingerencji w oprogramowanie może dopuścić się firma z macierzystego kraju – liczą się interesy gospodarcze.

Co z tym można zrobić? Firma ComCERT przeprowadziła audyt sposobów produkcji i wgrywania oprogramowania do liczników i zaproponowała zmiany, m.in. wprowadzenie regulacji określających odpowiedzialność dostawców za zabezpieczenie łańcucha dostaw czy wprowadzenie wymogu audytów liczników w akredytowanych jednostkach certyfikujących lub upoważnionych podmiotach.

Innymi słowy: niech na rynek trafiają liczniki skądkolwiek, byleby przechodziły certyfikację w niezależnym laboratorium. Tyle że certyfikacji nie ma i nie ma też planów jej wdrożenia.

Jak informował ComCERT, Ministerstwo Cyfryzacji mogłoby już teraz wprowadzić rekomendację w sprawie tego, jakie urządzenia mogą być do Polski sprowadzane, ale prace w tym kierunku w ogóle się nie toczą. ●

Od kilku miesięcy trwa wojna podjazdowa między producentami liczników energii

Miliony na pikniki

Waloryzacja świadczenia z 500 na 800 zł odbywała się automatycznie i nie wymagała od rodziców żadnych urzędowych czynności. Mimo to rząd w czasie kampanii wyborczej zorganizował 140 pikników promujących 800+. Wyborcza.biz dowiedziała się, ile kosztowały.

Maria Korcz

Pod koniec stycznia 2024 roku Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej po raz pierwszy od dawna otworzyło drzwi dla dziennikarzy. Choć resort od kilku tygodni był już w rękach Agnieszki Dziemianowicz-Bąk, w budynku przy ul. Nowogrodzkiej było jeszcze widać ślady po rządach Marleny Maląg. Tuż przy wejściu do ministerstwa, na wysokości bramki, przy której ochroniarze prześwietlają osoby wchodzące do resortu, znajdowało się szklane pomieszczenie, przypominające łatwe do wydzielenia biuro, które czasem stawia się w korporacyjnych openspace'ach. Z korporacyjnym charakterem miało jednak niewiele wspólnego, bo od podłogi aż po sufit wypełnione było kolorowymi pufami. Miękkie niebieskie siedziska z nadrukami „800+” wypełniały niemal całą przestrzeń kilkunastometrowego pokoju. Dalej, w korytarzu znajduje się pomieszczenie z dodatkowymi stolikami do pracy. Dziś znów ma takich charakter, ale jeszcze miesiąc temu było magazynem puf i piknikowych gadżetów. Skoro ministerialne magazyny nie pomieściły zakupionego sprzętu, jak duże musiały być wydatki resortu w ostatnich miesiącach? Policzenie tego to jedno z pierwszych zadań, jakie postawiła przed sobą nowa ministra pracy. – Prowadzimy merytoryczną ocenę programów, które były realizowane przez poprzedni rząd, z każdej strony oglądamy każdą złotówkę, która była w ministerstwie wydawana. Szczególnie przygląda-

my się temu, jak ministerstwo wydawało środki w regionach, z których później politycy PiS startowali w wyborach, w tym środkom przeznaczanym na słynne już pikniki 800+ – mówiła niedawno w wywiadzie dla serwisu Wyborcza.biz ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. **NIK wytyka nieprawidłowości** Pod koniec lutego Najwyższa Izba Kontroli (NIK) poinformowała o wynikach kontroli dotyczącej rządowego programu dla seniorów „Aktywni+”. Ustalono, że w roku wyborczym, gdy za rządów PiS ministerstwem zarządzali ministrowie Marlena Maląg i jej zastępca Stanisław Szwed, nieproporcjonalnie wysokie nakłady pieniężne były przeznaczone na wsparcie organizacji pozarządowych w okręgu wyborczym wiceministra Szweda. Procedury konkursowe, które decydowały o tym, kto dostanie państwowe pieniądze, odbywały się uznaniowo i niezgodnie z regulaminem. Przy najmniej do czasu, gdy nie zmienił go z datą wsteczną. W wyroku NIK był następujący: z 44 organizacji pozarządowych, które dostały środki na realizację projektów w województwie śląskim, 24 prowadziły działalność w okręgu, z którego w wyborach do Sejmu kandydował przyznający dofinansowanie Stanisław Szwed. W sumie do różnych organizacji z jego okręgu trafiło ponad 1,7 mln zł z budżetu przeznaczonego na aktywizację seniorów. NIK zawiadomiła prokuraturę o możliwości nadużyć. To jednak



FOT. MARCIN STEPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydatki rządu PiS na pikniki promujące program 800+ przed wyborami

Dane w mln zł

2021	ok. 30 wydarzeń	1,2							
2022	ok. 40 wydarzeń	1,9							
2023	ok. 140 wydarzeń (rok wyborczy, ogłoszenie waloryzacji 500+ do 800+)	11							

© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: WYBORCZA.BIZ

zaledwie część środków, które ministerstwo wydało w praktyce (bo nie wprost) na kampanię wyborczą. Wyborcza.biz ustaliła też, ile resort przeznaczył na rodzinne pikniki.

11 mln zł na pikniki promujące program 800+ i polityków PiS

Według informacji, do których dotarliśmy, liczba pikników ministerialnych była w 2023 roku 4,5 razy większa niż jeszcze w 2021 roku. Budżet państwa kosztowało to ponad 10 raz więcej niż wcześniej. W 2021 roku rodzinne pikniki organizowane przez PiS odbyły się 30 razy. Kosztowały 1,2 mln zł. Rok później, w 2022 r. liczba imprez się nie zmieniła, ale wydano na nie 700 tys. zł więcej.

Gdy rodzinne pikniki odbywały się w całej Polsce, regularnie pojawiali się na nich politycy PiS, w tym kandydaci do parlamentu w danych regionach

Gdy nadszedł rok wyborczy, najpierw ogłoszono waloryzację świadczenia do 800+, a następnie rozpoczęto akcję promocyjną programu, w tym plenerowe spotkania z atrakcjami dla dzieci i sceną, na którą po przemówieniach polityków, wchodziły animatorki prowadzące zabawy dla dzieci.

Według ustaleń Wyborczej.biz takie pikniki odbyły się wiosną i latem przed jesiennymi wyborami w 2023 roku 140 razy. Średnio co drugi powiat gościł więc wówczas rządową imprezę. W sumie wydano na nie 11 mln zł.

Malowanie twarzy, rzucanie do celu i przemówienie ministra

Gdy rodzinne pikniki odbywały się w całej Polsce, regularnie pojawiali się na nich politycy PiS, w tym kandydaci do parlamentu w danych regionach. I tak np. w Luboniu, w powiecie poznańskim, pojawił się Szymon Szynkowski vel Sęk, w tamtym czasie minister do spraw Unii Europejskiej. Na scenie, pod którą razem z animatorami bawiły się dzieci, zawisł billboard z imieniem i nazwiskiem ówczesnej minister Marleny Maląg.

W Łomży natomiast w pikniku udział wziął Lech Kołakowski, w tamtym czasie wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi. W Lanckoronie imprezę otworzyli posłowie PiS: Filip Kaczyński, Władysław Kurowski i Marek Polak. Na jednym z nagrań z wydarzenia burmistrz miasta tłumaczy przed kamerą: „To jest piknik Ministerstwa Polityki Społecznej, więc w porozumieniu z wojewodą umieściliśmy go w Lanckoronie”.

Musi budzić pytania zasadność przeznaczania 11 mln zł na promocję programu, z którego już korzysta większość uprawnionych. Waloryzacja świadczenia odbywała się automatycznie i nie wymagała od rodziców żadnych urzędowych czynności, celowość tak dużych wydatków na kampanię informacyjną jest więc co najmniej wątpliwa.

A właśnie koniecznością prowadzenia kampanii informacyjnej tłumaczyła organizację pikników Marlena Maląg, kierująca resortem za rządów PiS. – Kampanię informacyjną prowadziliśmy przy okazji wprowadzenia każdego programu. Czy to polityki rodzinnej, wsparcia rodzin z małymi dziećmi, czy też wsparcia seniorów – przekonywała w lipcu zeszłego roku. ●

Twórca Pracuj.pl zwycięzcą

Jeśli dostałeś pracę, to prawdopodobnie przy jego pomocy. Przemysław Gacek z Pracuj.pl zawałnął polskim (i nie tylko) rynkiem ogłoszeń o pracę. Teraz zdobył tytuł EY Przedsiębiorca Roku i pojedzie reprezentować Polskę w globalnej edycji konkursu.

– Tytuł EY Przedsiębiorca Roku 2023 został przyznany przedsiębiorcy kompletnemu, który zmienia świat swoich klientów, pracowników i otoczenie na lepsze – powiedział w laudacji Jacek Kędzior, partner zarządzający EY Polska. Po tych słowach jasne się stało, że z grona 9 firm i 12 przedsiębiorców to właśnie założyciel Grupy Pracuj.pl otrzyma tytuł. Przemysław Gacek stworzył przedsiębiorstwo, które technologicznie lideruje nie tylko w naszym kraju, ale i w całej Europie w zakresie HR. Od 2000 roku tworzy do-

skonale znany serwis dla poszukujących pracy Pracuj.pl. Każdy, kto szuka pracownika, musiał też zerknąć się z jego systemem eRecruiter. Od blisko 20 lat działa w Ukrainie, a dwa lata temu jego firma kupiła system softgarden oferujący pomoc w zatrudnieniu pracowników w Niemczech, Austrii oraz Szwajcarii. W sumie Grupa Pracuj sama zatrudnia ponad 1100 pracowników, a jej wycena na warszawskiej giełdzie to aktualnie około 4 mld zł. – Ta nagroda to dla mnie docenienie tego, co robiłem przez ostatnie 24 lata. To nie jest nagroda „za bycie numerem jeden”, to jest nagroda za konsekwencję w budowaniu biznesu z wartościami, który nie ma kompleksów, łamie paradygmaty, przekracza Rubikon. Często to oznacza w biznesie walkę z samym sobą, mam więc satysfakcję, że dostrzega to także tak prestiżowe jury – mówi w rozmowie z serwisem Wyborcza.biz Przemysław Gacek.

Twórca Pracuj.pl w piątkowy wieczór został też zwycięzcą w kategorii Nowe Technologie/Innowacyjność. Jak uzasadniła kapituła, to nagroda za „stworzenie wiodącej w Europie platformy technologicznej, która pomaga ludziom w pełnym wykorzystaniu swojego potencjału zawodowego”. Biznesowo Gacek od lat wspiera też start-upy. I ma do nich niesamowitego nosa. Na liście jego trafionych inwestycji są uważane za polskie jednorożce DocPlanner czy Boksy. Zwycięstwo w konkursie EY Przedsiębiorca Roku to dla niego kolejny z laurów. Kilka miesięcy temu został bowiem... mistrzem świata w żeglarskim w klasie 5.5, która kiedyś była klasą olimpijską. Za kilka miesięcy twórca Pracuj.pl będzie reprezentował Polskę podczas międzynarodowego finału konkursu EY World Entrepreneur Of The

Year 2023. W Monte Carlo powalczy z przedsiębiorcami z 60 innych państw. W finale międzynarodowej edycji konkursu może liczyć mocne na wsparcie. W jury konkursu zasiadać będzie drugi rok z rzędu twórca paczkomatów Rafał Brzóska. Na gali przyznano też inne tytuły. W kategorii Produkcja i Usługi nagroda trafiła do Pawła Marchewki, twórcy i prezesa producenta gier Techland, a w kategorii Nowy Biznes za „stworzenie firmy, która zarabia, bawi i uczy”, statuetki otrzymali Karol Gawel i Adam Kowalczyk ze Smart Kids Planet. Jury przyznało też nagrody specjalne. Tu wyróżnienia otrzymali Sebastian Jabłoński z Respect Energy oraz Piotr Garstecki z firmy Scope Fluidics. ● **Sebastian Ogórek** Wyborcza.biz jest partnerem medialnym EY Przedsiębiorca Roku

OGŁOSZENIE

Kraj/34305659

Patronat **wyborcza.biz** nad konkursem:

EY Entrepreneur Of The Year™

Przedsiębiorca Roku

W konkursie EY Przedsiębiorca Roku już po raz 22. zostaną wyróżnieni najlepsi polscy przedsiębiorcy i przedsiębiorczynie.

Partnerami 22. edycji konkursu EY Przedsiębiorca Roku są:

- PKO Bank Polski
- Polski Fundusz Rozwoju
- SAP Polska
- Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie
- Wyborcza.biz
- Puls Biznesu
- My Company Polska
- TVN24 BIS

Więcej czytaj na: **Wyborcza.biz/przedsiębiorcaroku**

Kulisy zamówień publicznych

– **Cena, a nie jakość, przesądza o wyborze projektu architektonicznego.** To mierzalne kryterium, które można wybronić.

„Ile pan wytrzyma w sądzie?” wprost pytano mnie przy realizacji dla Kancelarii Sejmu – mówi Rafał Sieraczyński, architekt, który projektował m.in. Operę Narodową, renowację Wawelu i salę koncertową w Łodzi.

ROZMOWA Z
RAFAŁEM SIERACZYŃSKIM

głównym architektem i założycielem RYSY Architekti. Jeden z założycieli Fundacji Szkic działającej na rzecz odejścia od opierania przetargów o kryterium ceny na rzecz kryterium jakości

MARIA KORCZ: Mówi pan o sobie, że jest architektem specjalizującym się w zamówieniach publicznych. Co to znaczy?

RAFAŁ SIERACZYŃSKI: W mojej pracowni powstały projekty za blisko miliard złotych publicznych pieniędzy. W tej chwili zajmuję się już tylko projektami publicznymi, finansowanymi i zlecanymi przez samorządy, rząd, instytucje kultury i wyższe uczelnie. W zamówieniach publicznych architekt ma bardzo mocny mandat. Jesteśmy odpowiedzialni za to, żeby zadbać o dobro wspólne.

Jednocześnie to niewielki rynek, procedur przetargowych na projekty publiczne rocznie odbywa się około 550. Z czego procedur konkursowych, które są nastawione na jakość, jest może 30. Szacowałbym, że w 95 proc. przypadków głównym kryterium w wyborze projektanta jest cena. Nie jakość.

I to, pana zdaniem, złe kryterium?

– Wybiera się cenę za wyznacznik, bo każdy wybór jakościowy wiąże się z odpowiedzialnością wybierającego, a cena to proste i mierzalne kryterium jakości, które wybroni się przed ewentualną kontrolą. W efekcie jest tak, że ceny za projekty spadły do poziomu 1–1,5 proc. kosztów realizacji.

Stowarzyszenie Architektów Polskich od lat publikuje informacje, że średni udział kosztów projektowych w inwestycjach publicznych oscyluje w ciągu ostatniej dekady wokół 2 proc. Rozporządzenie ministra regulujące cenę za prace projektowe mówi o 6-8 proc. Dla porównania np. w Belgii ta wartość jest ustalona na poziomie 12 proc. Jeżeli lokujemy w proces projektowy środki sześć razy mniejsze niż mówi rozporządzenie i 10 razy mniejsze niż inne kraje europejskie, to jaką gwarantujemy jakość przestrzeni publicznej?

W takim razie na co w Belgii wydają środki przy projektowaniu, a co pomijamy my w Polsce?

– Podam przykład Wydziału Farmacji na poznańskim Uniwersytecie Medycznym. Dostaliśmy zlecenie zaprojektowania wydziału dla 17 katedr, każda z nich pracuje inaczej: jedni szukają laserowo

w dwutonowych maszynach markerów raka, inni uczą się chemii na fizycznych modelach geometrycznych.

Każda katedra wymagała kilku spotkań w formie warsztatów z pracownikami i studentami, żebyśmy mieli pojęcie jakie są ich potrzeby, do czego będą służyć pomieszczenia. Tych działań klient w ogóle nie przewidział w zamówieniu na prace projektowe. Całą tę pracę wykonaliśmy na własną rękę, nie była ona przewidziana w naszej wycenie, całą część konsultacyjną zrobiliśmy z własnej inicjatywy, można powiedzieć, poza budżetem.

A jakie dostaliście wynagrodzenia za tę realizację?

– Nam, projektantom, przypadło 0,5 proc. wartości inwestycji. Warto wspomnieć też, że ostatnie lata wiele zmieniły w projektowaniu. Pojawiły się elektroniczne systemy zarządzania budynkami, rozległe systemy komunikacyjne, inteligentne energooszczędne systemy zarządzania światłem czy w ogóle energią, nowe materiały, analizy statyczne fasad, symulacje komputerowe pożarów, międzynarodowe finansowania obiektów.

To wszystko wymaga wielobranżowego wysoko wykwalifikowanego zespołu. Żeby zrobić to dobrze, w dużym obiekcie naprawdę trzeba być specjalistą.

Nowy Europejski Bauhaus, kulturowy program Unii Europejskiej, składa się z trzech filarów, którymi są piękno, inkluzywność, czyli dialog z użytkownikiem, by poznać jego potrzeby i gospodarka cyrkularna, czyli wykorzystywanie już istniejących materiałów, energooszczędność. Projekt budynku, który wszystkie te wyznaczniki spełnia, wymaga głębokiej wiedzy, wielu analiz. Np. projektując Pałac w Oliwie we współpracy ze Szkołą Główną Służby Pożarniczej tworzyliśmy symulacje komputerowe oddziaływania wiatru na konstrukcję.

Budynki konsumują 40 proc. energii, na otoczenie oddziałują średnio przez 100 lat, bo taka jest żywotność architektury. A na pracę nad ich projektem poświęcamy gorsze.

Częstą praktyką jest brak budżetu na konsultacje, robienie ich społecznie na własną rękę?

– Tendencja na rynku zamówień publicznych jest taka, że przetargi wygrywają nie firmy architektoniczne tylko przedsiębiorcy, którzy realizują projekty wyłącznie dla krótkoterminowego zysku. Oni są w stanie spełnić niskie kryteria kosztowe, ale kulturowo-artyścicki aspekt architektury nie jest poza domeną ich działalności gospodarczej. Nie proponują konsultacji społecznych, nie spędzą



dodatkowych godzin na kolejnych poszukiwaniach, które prowadzą do lepszych rozwiązań pod względem technicznym, ekonomicznym czy funkcjonalnym. Uczestniczyłem ostatnio w postępowaniu na skomplikowane laboratoria wojskowe. Z czterech firm, które w nim startowały, tylko my byliśmy pracownią architektoniczną.

To by wyjaśniało skąd wziął się problem patodeveloperki.

– W tym hasle odnajdziemy echa dyktatu ceny, gdy chodzi przede wszystkim o to, by ciąć koszty, również na etapie projektu. Ekonomia rozwiązań jest oczywiście niezwykle istotna, ale w XXI wieku mamy już ustalone oczywiste cywilizacyjne standardy. Przekładając to na zamówienia publiczne, przychodzi mi do głowy przykład sali koncertowej w Łodzi. Przejęliśmy, a raczej wyrzuciliśmy do śmieci i zaczęliśmy od nowa projekt rozpoczął przez pracownię drogową.

Poprzedni zespół był zupełnie nieprzygotowany do prowadzenia takiej inwestycji. Ale wygrał ceną. Innym problemem jest dysproporcja siły między np. dysponującym miliardowym budżetem uniwersytetem a nami, kilkuosobowym biurem. Możemy zgłaszać uwagi do zapisów umownych, które będą kształtowały relacje projektant – klient, mamy do tego ustawowe prawo, ale przyjęło się, że tych uwag zamawiający zwykle nie przyjmuje na etapie postępowania. Tak w ostatnich 20-30 latach ukształtowały się relacje architektów z instytucjami publicznymi.

Wiem, że pracował pan dla Kancelarii Sejmu. Ten zły przykład idzie z góry?

– Pracownicy Kancelarii Sejmu przy okazji przebudowy jednego z obiektów sejmowych, pytali mnie: „ilu pan ma prawników?”. Wprost usłyszałem też: „ile pan może wytrzymać w sądzie?”. Jeszcze lepiej widać to na przykładzie Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Budowa zdążyła ruszyć, a my nie otrzymaliśmy wynagrodzenia za projekty wykonawcze. Po pół roku sprawa trafiła do sądu. Cały kompleks zdążył powstać, uczy się w nim już dwa tysiące studentów, a my doczekaliśmy się tylko części wynagrodzenia. Próbuje się też wyegzekwować od nas kary za opóźnienie. Na niecałe trzy miesiące przed zakończeniem projektu, uczelnia wróciła do nas z informacją, że chce więcej sal dydaktycznych. Projekt przewidywał liczbę sal na podstawie liczby studentów, ale chciano mieć ich więcej. Odmówiono przyjęcia dokumentów dopóki tego nie zmienimy, a to gigantyczna zmiana, naniesienia jej nie można było skrócić i termin końcowy okazał się nierealny.

Na świecie działa to lepiej?

– Fascynuje mnie Flandria, czyli część Belgii, w której tożsamość narodowa obudziła się dopiero 20 lat temu. Od zera powołano agencję rządową, która koordynuje prace inwestorów i przeprowadza jakościowe procedury konkursowe. Dzięki temu powstaje tam architektura, która jest i piękna, i awangardowa, i społecznie przemyślana. Uważam, że to europejski wzór wybierania jakości w architekturze.

Na mnie poza Kopenhagą, bo to oczywiste, duże wrażenie robiła architektura dzielnic portowych w Hamburgu.

– W Hamburgu nawet obiekty prywatne, które mają elewacje w przestrzeniach publicznych muszą być projektowane w oparciu o jakościowe procedury konkursowe. Miasto tego bardzo pilnuje. Wybieranie projektantów w trybie aukcyjnym „kto da niższą cenę”, który przyjęliśmy w Polsce, sprawdzało się po roku '89. Potrzebowaliśmy szybko bu-

Fascynuje mnie Flandria, czyli część Belgii, w której tożsamość narodowa obudziła się dopiero 20 lat temu. Od zera powołano agencję rządową, która koordynuje prace inwestorów i przeprowadza jakościowe procedury konkursowe



• Dworzec
kolejowy
w Solcu
Kujawskim
FOT. RYSY
ARCHITEKCI /
PIOTR KRAJEWSKI

dować, ale dzisiaj jesteśmy, choćby pod względem świadomości w kontekście poszanowania środowiska czy współuczestnictwa społeczeństw w procesie tworzenia budynków i miast, w zupełnie innym miejscu.

Przed wszystkim zwróciłam uwagę na dostępność portu. Zupełne przeciwieństwo względem np. Gdyni.

– Jakość i dostępność przestrzeni publicznych to też jest dla architektury w Polsce jakiś problem. Startowaliśmy w konkursie na projekt Pałacu Saskiego, pracowało nad tym w naszym zespole 18 osób. Najważniejszym punktem, na którym nam zależało było to, żeby wszystkie 8 dziedzińców – bo tam ma być przeniesiona m.in. siedziba Senatu – było otwartych dla obywateli. Zналиśmy ówczesne standardy bezpieczeństwa Kancelarii Sejmu, więc od początku próbowaliśmy przekonywać, że jeżeli wydaje się na inwestycję publiczną dwa miliardy złotych, to wszystkie dziedzińce, łącznie z dziedzińcem Senatu, powinny być otwarte.

Tak jest np. przy duńskim parlamencie. – I tak samo jest w Paryżu, w ogrodzie Luksemburskim, gdzie jest siedziba senatu. Architekci są kształceni do tego, żeby mieć świadomość tego, jak zadbać o dobro publiczne. I dlatego właśnie ryzykowne jest marginalizowanie ich, bo wtedy społeczna funkcja architektury,

jak w przypadku pałacu Saskiego, schodzi na dalszy plan.

A jak pan ocenia tę inwestycję? – W pierwszej chwili byłem przeciwny. Ale z czasem zdałem sobie sprawę, że to nieuniknione, żeby powstawały nowe budynki na potrzeby administracji państwowej i może lepiej, żeby powstawałby w sercu miasta niż poza nim? Senat swoje pomieszczenia w budynku Sejmu otrzymał tymczasowo, a zajmuje je od lat, można powiedzieć, że przestrzennie izby w parlamencie nie do końca są rozdzielone. Dodatkowo dużym walorem moim zdaniem było wprowadzenie do projektu obiektów kulturalnych w jednej trzeciej pałacu. W naszym projekcie założyliśmy równy podział, w którym pół kompleksu przypadłoby władzy, a pół społeczeństwu i w tej drugiej połowie chcieliśmy stworzyć instytucje kultury. Ale nie wygraliśmy tego konkursu.

Tendencja na rynku zamówień publicznych jest taka, że przetargi wygrywają nie firmy architektoniczne tylko przedsiębiorcy, którzy realizują projekty wyłącznie dla krótkoterminowego zysku

A może my w ogóle nie potrzebujemy takiej uspołecznionej architektury? Budownictwo społeczne też budzi opór.

– Robiliśmy kiedyś projekt adaptacji zabytkowej kamienicy na mieszkania socjalne. Nasza obserwacja po ich zasiedleniu była taka, że brakowało dbałości mieszkańców o te lokale. Być może wynikało to ze zbyt małego poczucia własności. Jeśli angażowalibyśmy mieszkańców w proces projektowy, to oni zawiązywaliby społeczność, czuli większą odpowiedzialność. Ale budownictwo społeczne to przykład kolejnej sfery, w której nasze państwo abdykuje, a standardy wyznaczają firmy deweloperskie.

Nasza fascynacja kapitalizmem powoduje, że marginalizuje się przestrzenie wspólne, teraz deweloper zrobi mały placzyk, oszuka na miejscach parkingowych dla osób z niepełnosprawnością, będzie szukał oszczędności na terenach zielonych. Krótkoterminowy zysk wypiera długoterminowe wartości kulturowe. Trwałość wspólnoty, która zasiedli obiekt, nie jest przedmiotem zainteresowania inwestora.

Czyli to, że polska przestrzeń publiczna wygląda tak jak wygląda, to efekt oszczędzania na architekturach?

– To na pewno jedna z przyczyn. Kolejną jest to, że zawód urbanisty został zderegulowany i nie są wymagane uprawnienia do projektowania miast. To sprawia, że budynki powstają jak kropki na mapie, tymczasem miasto to żywa tkanka powiązań. Inwestycje w miastach często mają charakter punktowy, brak jest szerszej analizy, skanu urbanistycznego. Dzięki temu wiedzielibyśmy, jakie rozwiązania komunikacyjne czy infrastrukturalne sprawią, że nowy obiekt lepiej się przyjmie w organizmie miejskim.

Dobrze to widać na przykładzie warszawskiego Mordoru, który równo o 17:00 staje w wielkich korkach.

– Tak, w Warszawie ogromną liczbę biurowców skoncentrowano w jednym miejscu i nie zaplanowano wystarczających linii komunikacji miejskiej. To są efekty szybkiego kapitalizmu. Później jeszcze zbudowano w tamtej okolicy Galerię Mokotów. Choć był pomysł, żeby ona powstała przy stacji metra Wilanowska.

Na pewno są też dobre przykłady. Np. biblioteka miasta Warszawa przy Koszykowej? Przesiadują tam tłumy uczniów.

– Świetny przykład rozbudowy historycznego obiektu, z dużą proporcją powierzchni wspólnych. Podobnie jak obiekt Nowego Teatru w Warszawie w zaadaptowanej zajezdni autobusowej. Kiedy prezentowaliśmy projekt budynku farmacji Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu i pomysł stworzenia przestrzeni spacerowej z ławkami, usłyszeliśmy: „Uniwersytet nie jest po to, żeby spacerować”. Właśnie nie! Uniwersytet jest po to, żeby spacerować, żeby się zakochać, nie tylko po to, żeby robić badania. Zachowaliśmy nasze pomysły, stworzyliśmy ogrody, gdzie studenci hodują

rośliny lecznicze, połączone z przestrzenią do wypoczynku. Nie wydaje mi się, by bez naszej inwencji uczelnia tę przestrzeń wykorzystala.

Czyli potrzebujemy więcej wspólnych przestrzeni, ale o tym nie wiemy?

– Trochę tak jest. Dobry przykład to też węzeł komunikacyjny w Solcu Kujawskim. Klient oczekiwał miejsca wymiany pasażerów. My przyszlismy z pomysłem otwartej przestrzeni, która będzie mogla mieć też inne funkcje społeczne. I dziś powstała tam agora, odbywają się tam koncerty, to miejsce spotkań, wydarzeń. Na tym dworcu, na tej pętli komunikacyjnej, organizowane są co roku misteria paschalne!

Nie spodziewałem się tego, ale często o to właśnie chodzi, żeby dać ludziom miejsce i oni zrobią z tym fantastyczne rzeczy. Dobry przykład planowania to też założenie Filharmonii w Zamościu. Jej koncepcję konsultowaliśmy z dyrygentem Tadeuszem Wicherkiem i okazało się, że tam jest też świetna ekipa tańca towarzyskiego, która zdobywa nagrody międzynarodowe, ale że jest w mieście także potrzeba stworzenia sali kongresowej. I przygotowaliśmy ten projekt tak, żeby wszystkie te funkcje spełniał, był miejscem dla jak największej liczby grup społecznych.

Samorządy bez pomocy architektów nie umieją o to zadbać?

– Nie zawsze. Był moment, gdy premier jeździł po Polsce i rozdawał czeki, jeden przyznał Starogardowi Gdańskiemu. Gmina zadzwoniła wtedy do mnie, że chce wybudować za to filharmonię... pod miastem, na działce obok cmentarza. Z tego co wiem, ona póki co nie powstała, nie wiem co dalej się dzialo z tym pomysłem, ale nie trzeba być ekspertem urbanistyki, by zauważyć, że to był fatalny pomysł.

Czego w warstwie samych projektów pana zdaniem brakuje w Polsce?

– Domów dla osób starszych. To coś, czego u nas jeszcze nie ma, a mamy starzejące się społeczeństwo i będziemy potrzebowali infrastruktury, która będzie spełniała potrzeby osób starszych. Konieczne będą miejsca, gdzie będą się one mogły sprawnie poruszać, same posprzątać, które staną się przestrzenią integracji z innymi pokoleniami.

Pilniejszą potrzebą jest zadbanie o to, abyśmy społecznie wierzyli w to, że planowanie i projektowanie obiektów i miejsc użyteczności publicznej ma sens. Tworzenie w drodze dialogu elastycznych i trwałych programów dla budynków, poszukiwanie na drodze projektowej technicznych rozwiązań odpornych na wyzwania przyszłości takie, jak niedobory energii, migracje, starzejące się społeczeństwa, hybrydowe modele pracy i nauki, nowe sposoby poszanowania dziedzictwa, powtórne wykorzystanie materiałów. By odpowiedzieć na tak wieloskalowe wyzwania, powinniśmy mieć odpowiednich ludzi i właściwe środki. Architekci są w tym kierunku kształceni, więc wydają się być idealnymi kandydatami. ●

Rozmawiała Maria Korcz

OGŁOSZENIE

Kraj/34303056



Już 06.03 na
wyborcza.biz

LATA
korzyści

ageizm na rynku pracy

wyborcza.biz

wysokieobcasy.pl

SPONSOR



„Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych”

Z wielkim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o nagłej śmierci

plk mgr

Zdzisława Iwanowskiego

wieloletniego pracownika Wojskowej Akademii Medycznej Szpitala Klinicznego im. WAM w Łodzi, a w ostatnim czasie Tomaszowskiego Centrum Zdrowia Sp. z o.o. Sp. Zdzisław Iwanowski był przez całe swoje życie osobą aktywną - wychowawca wielu pokoleń absolwentów Wojskowej Akademii Medycznej, zaangażowany w działalność sportową, jako wieloletni Przewodniczący Komisji Rewizyjnej KS Budowlani Łódź.

Człowiek wielkiego serca, nieodmawiający nigdy pomocy nikomu, doradca w trudnych życiowych sytuacjach.



Wyraz głębokiego współczucia i słowa wsparcia:

Żonie Magdalenie, Córkom Barbarze i Agnieszce oraz Wnuczce Martynie

składają

Przyjaciele:

Wiesław, Grzegorz, Jerzy, Włodzimierz, Stanisław, Wojciech, Edward, Anna, Beata.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się 5 marca 2024 roku o godzinie 11.15 na Cmentarzu Rzymskokatolickim pw. Św. Józefa przy ul. Ogrodowej 39 w Łodzi.

34305783

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 25 lutego 2024 roku zmarł

prof. dr hab.

Jerzy Jarzębski

jeden z najwybitniejszych badaczy literatury polskiej XX i XXI wieku, krytyk literacki, który towarzyszył polskiej prozie współczesnej od lat 70 ubiegłego wieku. Jego imponujący dorobek naukowy stanowi wielki wkład w rozwój polskiej humanistyki. Autor kilkunastu książek autorskich, setek studiów, artykułów i recenzji ogłaszanych w Polsce i za granicą. Prodziekan Wydziału Polonistyki UJ w latach 2005–2012. Laureat wielu prestiżowych wyróżnień m. in. Nagrody Kościelskich oraz Nagrody im. Kazimierza Wyki.

Wybitny dydaktyk, którego ćwiczenia, wykłady, warsztaty krytyczne i seminaria poświęcone literaturze polskiej XX i XXI wieku cieszyły się wielką popularnością i uznaniem studentów.

Wspaniały kolega, który współkształtował środowisko krakowskiej polonistyki, a w szczególności Katedr: Historii Literatury Polskiej XX wieku i Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się w piątek 8 marca 2024 roku o godzinie 13.00 w Domu Pogrzebowym na Cmentarzu Komunalnym Wojskowym w Warszawie (ul. Powązkowska 42/45), po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłego na miejsce spoczynku na Stare Powązki (brama IV).

Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia składają

Dziekan i Rada Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego

34305180

Tomkowi Ochrymowiczowi

wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają

Koleżanki i Koledzy z działu Deloitte Financial Advisory oraz Zarząd Deloitte w Polsce



34305601



NACZELNIK
URZĘDU SKARBOWEGO
W PIASECZNE

OBWIESZCZENIE PUBLICZNE O TRZECIEJ LICYTACJI NIERUCHOMOŚCI

NACZELNIK URZĘDU SKARBOWEGO W PIASECZNE, NA PODSTAWIE ART. 110W § 1 I 3 USTAWY Z DNIA 17 CZERWCA 1966 R. O POSTĘPOWANIU EGZEKUCYJNYM W ADMINISTRACJI (TJ. DZ.U. Z 2023 R. POZ. 2505) PODAJE DO PUBLICZNEJ WIADOMOŚCI INFORMACJĘ O TRZECIEJ LICYTACJI NIERUCHOMOŚCI

Termin: 19 marca 2024r., godz. 11:00

Miejsce: budynek Urzędu Skarbowego w Piasecznie, ul. Energetyczna 5, pok. 207 (II piętro)

Przedmiot licytacji:

Nieruchomość gruntowa niezabudowana o łącznej powierzchni 0,8200 ha położona w Gólkowie, gmina Piaseczno, powiat piaseczyński objęta KW WA5M/00263998/5

Suma oszacowania wartości nieruchomości wynosi 450.000,00 zł (słownie: czterysta pięćdziesiąt tysięcy złotych)

Cena wywoławcza jest równa 65% sumy oszacowania wartości nieruchomości i wynosi **292.500,00 zł** (słownie: dwieście dziewięćdziesiąt dwa tysiące pięćset złotych)

Wadium: 1/10 oszacowanej wartości nieruchomości tj. **45.000,00 zł**.

Wadium składa się w gotówce lub w postaci czeku potwierdzonego wystawionego na tutejszy organ egzekucyjny lub na rachunek organu egzekucyjnego tj. Naczelnika Urzędu Skarbowego w Piasecznie nr 14 1010 1010 0161 8613 9120 0000 najpóźniej w dniu poprzedzającym licytację z dopiskiem „wadium nieruchomość WA5M/00263998/5”.

Wadium uznaje się za złożone, jeżeli wpłata wadium zostanie uznana na rachunku organu egzekucyjnego najpóźniej w dniu poprzedzającym dzień, w którym ma się odbyć licytacja publiczna tj. 18 marca 2024 r.

34305411.n

W KAŻDY WTOREK
Z „WYBORCZĄ”

MÓJ
BIZNES
wyborcza

34305817.z

Wyciąg z ogłoszenia o I przetargu ustnym nieograniczonym

na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej
położonej w Starogardzie Gdańskim przy ul. Chrzta Polski

Oznaczenie nieruchomości wg księgi wieczystej i katastru nieruchomości, powierzchnia	Działka nr 5/42 o pow. 6.026 m², obręb 1 księga wieczysta nr GD1A/00034706/3
Przeznaczenie nieruchomości gruntowej	A.31.U1 - teren zabudowy usługowej, komercyjnej, dopuszcza się funkcje mieszkaniowe jako towarzyszące funkcji podstawowej, wbudowane
Informacja o przeznaczeniu nieruchomości do sprzedaży	Nieruchomość przeznaczona do zbycia Zarządzeniem Nr 78/02/2024 Prezydenta Miasta Starogard Gdański z dnia 7 lutego 2024 r.
Cena wywoławcza	559 000,00 zł (w tym 23% VAT)
Termin i miejsce przetargu	15 maja 2024 r. (środa) godz. 10:30 sala nr 101 Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul. Gdańska 6
Wysokość wadium	55 900,00 zł płatne do dnia 9 maja 2024 r. (czwartek) na konto Urzędu Miasta nr: 83 8340 0001 0001 1400 2000 0005
Miejsce wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu	tablica ogłoszeń Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul. Gdańska 6 (obok p. 204) i TBS Ziemi Kociewskiej sp. z o.o. w Starogardzie Gdańskim, ul. Traugutta 56 oraz strony internetowej: www.bip.starogard.pl i www.starogard.pl
Dane teleadresowe, pod którymi można uzyskać szczegółowe informacje dot. przetargu	Urząd Miasta Starogard Gdański ul. Gdańska 6, Wydział Gospodarki Gruntami, Geodezji i Rolnictwa, pokój 204, tel. 58 5306075 ; mail: ewa.lewandowska@um.starogard.pl

34305416.n

Wyciąg z ogłoszenia o trzecim przetargu ustnym nieograniczonym

na sprzedaż działek niezabudowanych położonych
w Starogardzie Gdańskim przy ul. Chrzta Polski,
KW GD1A/00034706/3, obr. 1, według wykazu w tabelce:

Lp.	Nr działki	Pow. w m²	Przeznaczenie w obowiązującym miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego	Cena wywoławcza w zł (zawiera 23% VAT)	wadium w zł
1	2	3	4	5	6
1.	5/11	3.321	A.33.U1 - teren zabudowy usługowej, komercyjnej, dopuszcza się funkcje mieszkaniowe jako towarzyszące funkcji podstawowej, wbudowane	326 000,00	32 600,00
2.	5/12	5.414	A.33.U1 - teren zabudowy usługowej, komercyjnej, dopuszcza się funkcje mieszkaniowe jako towarzyszące funkcji podstawowej, wbudowane	510 000,00	51 000,00
3.	5/13	3.952	A.33.U1 - teren zabudowy usługowej, komercyjnej, dopuszcza się funkcje mieszkaniowe jako towarzyszące funkcji podstawowej, wbudowane	388 000,00	38 800,00
4.	5/15	3.194	A.31.U1 - teren zabudowy usługowej, komercyjnej, dopuszcza się funkcje mieszkaniowe jako towarzyszące funkcji podstawowej, wbudowane	314 000,00	31 400,00

Nieruchomości przeznaczono do zbycia Zarządzeniem Nr 242/05/2023 Prezydenta Miasta Starogard Gdański z dnia 9 maja 2023 r.

Przetarg ustny nieograniczony odbędzie się dnia 15 maja 2024 r. (środa) o godz. 10:00 w sali 101 Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul. Gdańska 6.

Wadium w pieniądzu należy wnieść najpóźniej do dnia 9 maja 2024 r. (czwartek) na konto Urzędu Miasta Starogard Gdański Nr 83 8340 0001 0001 1400 2000 0005.

Ogłoszenie o przetargu wywieszono na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul. Gdańska 6 (obok p. i TBS Ziemi Kociewskiej sp. z o.o. w Starogardzie Gdańskim, ul. Traugutta 56 oraz zamieszczono na stronach internetowych: www.bip.starogard.pl i www.starogard.pl

Blizszych informacji dotyczących ogłoszenia o przetargu udziela Wydział Gospodarki Gruntami, Geodezji i Rolnictwa Urzędu Miasta Starogard Gdański, ul.Gdańska 6, pok. 204, II piętro, tel. (58) 5306075, mail: ewa.lewandowska@um.starogard.pl

34305414.n



Słupsk

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA Prezydent Miasta Słupska ogłasza

V przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości niezabudowanych stanowiących własność Miasta Słupska, położonych przy ulicy Sławieńskiej w obrębie nr 0011 miasta Słupska, oznaczonych w ewidencji gruntów jako:

- działka nr 22/50 o powierzchni 3663 m² cena wywoławcza 570 000 zł, wadium 57 000 zł,
- działka nr 22/51 o powierzchni 2600 m² cena wywoławcza 420 000 zł, wadium 42 000 zł.

Do wycytowanej ceny za nabycie nieruchomości zostanie doliczony podatek VAT w stawce 23 %. Dla przedmiotowych nieruchomości Sąd Rejonowy w Słupsku VII Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi KW nr SL15/00038907/2.

Zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego „Szczecińska-Koszalińska” ww. działki znajdują się na terenie o funkcji: nowo projektowane tereny zabudowy usługowej nieuciągliwej (10.7.UN).

W ewidencji gruntów i budynków działki nr 22/50 i 22/51 oznaczone są jako zurbanizowane tereny niezabudowane lub w trakcie zabudowy (Bp).

Przetarg odbędzie się 08.05.2024 r. o godz. 10⁰⁰ w sali nr 212 Urzędu Miejskiego w Słupsku, Plac Zwycięstwa 3 (II p.).

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłacenie wadium do 02.05.2024 r. na konto: Miasto Słupsk mBank SA nr 08 1140 1153 0000 2175 4200 1011. Za datę wniesienia wadium uważa się datę wpływu środków pieniężnych na rachunek Miasta Słupska.

Pełna treść ogłoszenia została wywieszona na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Słupsku obok pok. 215, opublikowana na stronie internetowej www.slupsk.pl oraz w Biuletynie Informacji Publicznej www.bip.um.slupsk.pl.

Szczegółowe informacje dotyczące przetargu uzyskać można w Urzędzie Miejskim w Słupsku Plac Zwycięstwa 3, w Wydziale Zarządzania Nieruchomościami pokój 215, pod numerem tel. 0 59 84 88 472.

Prezydent Miasta Słupska zastrzega sobie prawo do odwołania przetargu za uzasadnionej przyczyny w trybie właściwym dla ogłoszenia.

34305105.n

PUBLIC NOTICE

EMBASSY OF INDIA KUWAIT
February 22, 2024

Mr. Przemysław Wojciech Ziolk, son of Mr. Zbigniew Marian Ziolk, national of Republic Of Poland, resident of 32005, Niepolomice, Poland and Ms. Nikita Vincent Lewis, daughter of Mr.Vincent Lewis, Indian national, resident of H. No. 119, Rautheri, Marol Maroshi Road, Andheri E, Mumbai - 400 059, India, presently residing in Kuwait, have given notice of intended marriage between them under the Foreign Marriage Act, 1969. If anyone has any objection to the proposed marriage, he/ she may file the same with the undersigned according to the procedure laid down under the Act/ Rule within thirty days from the date of publication of this notice. Communications in this regard can be made by Email (cw2.kuwait@mea.gov.in) / letters / telephon ic calls (00965-22550171,00965-22533125).



(Harit Shelat)

Second Secretary (Community Affairs)
and Marriage Officer.
Embassy of India, Kuwait.
Email: cw2.kuwait@mea.gov.in

34305586.n

Wojna w Ukrainie

Podzwonne dla europejskiego stylu życia

Europa ma za sobą kilkadziesiąt lat spokojnego, dostatniego życia, o którym marzymy także w naszym kraju. Ale wybuch wojny w Ukrainie i odrodzenie się rosyjskiej mocarstwowości zmienia wszystko

Gadomski



22 lutego w belgijskim mieście Gandawa zebrali się ministrowie finansów strefy euro. Było też kilku komisarzy, szefów banków centralnych i innych ważnych decydentów, w tym Mario Draghi, były premier Włoch i były prezes Europejskiego Banku Centralnego, któremu Komisja Europejska powierzyła zadanie napisania raportu na temat sposobów zwiększenia konkurencyjności UE. Rozmawiano o finansach, ale też o zagrożeniach geopolitycznych – wojnie w Ukrainie i konsekwencjach możliwego powrotu do Białego Domu Donalda Trumpa.

– Unia Europejska musi szybko znaleźć sposób na finansowanie ogromnych inwestycji, aby nadrobić zaległości i sprostać zmianom w porządku światowym – mówił Draghi.

Podkreślił potrzebę odważnych działań, pozwalających na sfinansowanie kosztów transformacji ekologicznej i cyfrowej, a także obronności, przy jednoczesnym zachowaniu europejskich modeli społecznych. Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Przez ponad 30 lat, czyli od czasu, gdy rozpadł się Związek Sowiecki i jedynym supermocarstwem, jakie utrzymało swoją siłę, pozostały Stany Zjednoczone, będące w strategicznym sojuszu z Europą, Unia Europejska korzystała z renty pokojowej. Według danych ONZ w roku 1983 Europa Zachodnia przeznaczala na obronność średnio 3,4 proc. PKB, dziesięć lat później 2,6 proc. a w roku 2020 1,4 proc. „Zaoszczędzone” 2 proc. PKB przeznaczyła na wzrost wydatków socjalnych, czyli na wspomniany przez Dragiego europejski model społeczny.

Oszczędności z rozbrojenia nie wystarczały. Bogate kraje Europy Zachodniej przez wiele lat wydawały na swój społeczny model więcej niż zarabiały. W efekcie rósł dług publiczny. W 1980 roku dług publiczny Francji wynosił 20 proc. PKB, Niemiec nieco ponad 30 proc., Grecji 23 proc., Włoch 56 proc., Hiszpanii 17 proc. Dziesięć lat później było to odpowiednio: 35 proc., 42 proc., 73 proc., 95 proc. i 41 proc. Dziś wszystkie te kraje mają dług przekraczający poziom 60 proc., uznawany w Traktacie z Maastricht za maksymalnie dopuszczalny, a we Włoszech, Grecji, Francji i Hiszpanii grubo przekracza 100 proc. PKB.

Draghi i inni politycy europejscy zastanawiają się, skąd wziąć pieniądze na większe wydatki inwestycyjne, bo Unia Europejska ma ambitne cele dotyczące transformacji energetycznej i cyfrowej. Ale przy tak wysokim zadłużeniu publicznym wielu możliwości nie ma.

W dodatku od lat bogata Europa nie potrafi wydobyć się ze stagnacji. W latach 2012-2022 średnie tempo wzrostu strefy euro wyniosło zaledwie 1,1 proc.,



• Kwiecień 2022, Bucza po wyzwoleniu
FOT. SHUTTERSTOCK

a największej gospodarki europejskiej, Niemiec, 1,0 proc. Stagnacja, z którą Unia chce skończyć przez większe wydatki inwestycyjne, jest skądinąd pochodną europejskiego stylu życia – wysokich wydatków socjalnych, sztywnych regulacji rynku pracy i wysokiego zadłużenia państwowego.

Polska gospodarka rosła w ostatnich dziesięciu latach w tempie 3,3 proc., a więc szybciej niż średnio Unia Europejska, a tym bardziej strefa euro. Jednak w ubiegłym roku urosła zaledwie o 0,3 proc. Perspektywy tegoroczne też nie są ośniewające. Prognozy przewidują, że w długim, a nawet średnim okresie tempo wzrostu polskiej gospodarki będzie spadać. Jesteśmy wciąż znacznie biedniejsi niż zachodni Europejczycy, ale marzymy o europejskim modelu życia. Wizję takiego modelu przedstawiają programy niemal wszystkich partii politycznych, w tym Platformy Obywatelskiej i PiS. Niemal wszystkie partie obiecują jeszcze więcej socjału, więcej „darmowych”, czyli finansowanych przez podatników usług publicznych, krótszy czas pracy.

Nie jesteśmy wprawdzie tak zadłużeni jak Europa Zachodnia, ale jesteśmy liderem, jeśli idzie o przyrost długu. W ciągu kilku lat osiągniemy średni poziom unijny, przy czym płacimy od niego znacznie wyższe odsetki niż kraje będące w strefie euro.

Kiedy rząd wydaje pieniądze, wyborcy to widzą i doceniają. Są podwyżki wynagrodzeń pracowników budżetowych, wyższe zasiłki i emerytury, są środki na naukę, kulturę i służbę zdrowia, są nowe inwestycje w infrastrukturę. Wszystko to jest potrzebne, podnosi poziom życia i zadowolenie wyborców z rządu.

Ale gdy rośnie zadłużenie państwa, wyborcy tego nie dostrzegają. Nawet jeżeli ktoś zajrzy do statystyk (kogo one interesują?) to widzi tylko abstrakcyjne liczby. Każdy rząd stoi więc przed pokusą zaciągania długu i zwiększania wydatków, tym bardziej, że to następcy będą się zmagać z problemem wysokiego zadłużenia. W Polsce wyrazem tego jest hasło: rząd ma na wszystko pieniądze – wymyślone przez PiS i powtarzane przez koalicję 15 października.

Rosnący dług nie jest jednak abstrakcją, nie jest bez znaczenia. Na krótką metę stymulowanie gospodarki przez wyższe wydatki państwa przyspiesza wzrost, ale w długim okresie go hamuje, gdyż państwo, emitując dług, rywalizuje o kapitał z przedsiębiorcami. Wzrost gospodarczy także nie jest abstrakcją. Od 2000 roku do 2023 roku PKB wzrósł realnie (czyli w cenach stałych) o 125 proc., a dzięki temu średnie wynagrodzenia w gospodarce o 85 proc. Narzekamy, że 5000 zł miesięcznie na rękę to mało, ale wyobraźmy sobie, że to nie 5000, ale 2700, jak w roku 2000.

Lewicowy intelektualista poprzeda reklamę zachęcającą do przekazania jego fundacji 1,5 proc. podatku deklaracją: „Walczymy o to, by szkoły dostawały więcej pieniędzy, bo Polska nie stać na bieda-edukację”. Można tylko przyklasnąć. Bez dobrej edukacji Polska nie będzie zasobna. Kłopot w tym, że nie stać nas także na bieda-medycynę, bieda-kulturę, bieda-naukę, bieda-administrację, a przede wszystkim na bieda-wojsko.

Przejdźmy na twardy grunt prostej arytmetyki. Całość to zawsze 100 proc. Jeżeli jednak podliczymy wszystkie potrzeby, wszystko to, co sprawi, że w powyższych wyrażeniach zniknie przedrostek „bieda”, okaże się, że cały budżet to nie jest 100 proc., ale 120 proc., a może 150 lub 200 proc.

Na krótką metę ze 100 proc. budżetu możemy zrobić 105 proc., a może nawet 110 proc. (ale już nie więcej), zaciągając nowy dług. Ale nie rozwiązuje to problemu, bo to wciąż nie zaspokoi wszystkich słuszych potrzeb, a w dodatku w kolejnych latach dług trzeba będzie spłacać, więc ze 100 proc. zrobi się, powiedzmy, 90 proc.

W tegorocznym budżecie zaplanowano wydatki na oświatę i wychowanie w wysokości 97,6 mld zł, czyli o ponad 38 proc. więcej niż w ubiegłym roku. Z tego gminy otrzymają subwencję oświatową – prawie 88 mld zł. To wciąż za mało, to wciąż będzie bieda-edukacja.

Na obsługę długu rząd planuje przeznaczyć 66,5 mld zł. W ubiegłym roku wydał na to 61,7 mld zł. Gdyby

te pieniądze przeznaczyć na dofinansowanie szkół, może wreszcie mielibyśmy edukację, a nie bieda-edukację. Ale arytmetyki nie zmienimy. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby edukację dofinansować kwotą 80 mld zł – tyle mniej więcej kosztować w tym roku będzie program 800+.

Zarówno bogata Europa Zachodnia, jak i biedniejsza Polska stoją przed koniecznością określenia na nowo priorytetów budżetowych. Chodzi o to, jak 100 proc. budżetu podzielić na poszczególne cele, by w optymalny sposób zrealizować potrzeby państwa, społeczeństwa i poszczególnych obywateli. Priorytetów nie może być zbyt wiele, najwyżej kilka. Być może wśród nich powinna się znaleźć edukacja, ale z czegoś trzeba zrezygnować.

Ustalając priorytety, nie można zapominać o wzroście gospodarczym. Jeżeli go zadusimy zbyt wysokimi wydatkami, a także podatkami, nie będzie mowy o osiągnięciu europejskiego stylu życia.

System podatkowy w Polsce wymaga zmian i także wysokość stawek podatkowych nie może być tematem tabu w publicznych dyskusjach, ale warto zmiany projektować tak, by pomogły, a nie szkodziły gospodarce.

Świat jest dziś w punkcie zwrotnym. Dotyczy to także Europy i oczywiście Polski. Europa ma za sobą kilkadziesiąt lat spokojnego, dostatniego życia, o którym marzymy także w naszym kraju. Coś z tego europejskiego stylu życia da się uratować, ale w obliczu militarnego zagrożenia, rosnących wydatków na obronność, zmian demograficznych, globalnych przemian konkurencyjności gospodarek – nie wszystko. Na nowe czasy potrzebny jest nowy model społeczny. Nie brońmy starego, diskutujmy o nowym. ●

Witold Gadomski

• Teksty w dziale Opinie wyrażają poglądy autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska redakcji

Jarek Szubrycht

Irudno o lepsze miejsce na zorganizowanie wystawy „Bunt w systemie. Muzyczne przestrzenie wolności 1945-89” niż Nowa Huta. Nowe miasto, symbolizujące nową Polskę, które wyrosło u boku starego, zakorzenionego w tradycji Krakowa.

I właśnie ścieranie się starego z nowym, tego, co chwilowo słuszne z tym, co tymczasowo wyklęte, jest tematem przewodnim przygotowanej przez Muzeum Krakowa ekspozycji. Muzyka, oczywiście, też. Muzyka przecież te konflikty pokoleń napędzała.

SYSTEM KONTRA ANARCHIA

Zanim zatliły się pierwsze ogniska muzycznej rebelii, musiały zaistnieć okoliczności, przeciw którym trzeba było się zbuntować. Tę część wystawy przedstawiono nadzwyczaj starannie. Dowiadujemy się więc, że tuż po wojnie nie było najgorzej, że grało się i tańczyło jazz, jak na całym niemal świecie.

Pętla zaczęła się zaciskać w 1948 r., po zjednoczeniu PPR i PPS w nową siłę narodu, czyli Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, kiedy za jedynie słuszny nurt w sztuce uznano socrealizm, „narodowy w formie, socjalistyczny w treści”. Jazz nie spełniał ani jednego z tych założeń, więc zszedł do podziemia, ukrył się w prywatnych mieszkaniach i klubikach tak ciasnych, że szpicle nie mieliby gdzie się ukryć.

Dobrze udokumentowano jazzową rewoltę lat 50., którą umożliwiła odwilż po śmierci Stalina. Transparent układający się w napis DUPA na przemarszu towarzyszącym festiwalowi jazzowemu w Sopocie w 1956 r. musiał być aktem totalnej anarchii i samobójczej odwagi. Nic dziwnego, że ta impreza długo nie pociągnęła, ale jazzowego pochodu przez Polskę nie udało się już zatrzymać.

Kolejny etap muzycznego buntu, czyli narodziny polskiego rock’n’rolla (ze względu na opresyjne okoliczności zwanego bigbeatem, żeby nie kojarzył się z wynalazkiem z Zachodu), na nowohuckiej wystawie również wyłożono w sposób wyczerpujący. Zadbano nie tylko o daty i nazwiska związane bezpośrednio z muzyką, choćby o upamiętnienie wiekopomnej roli Franciszka Walickiego. Nakreślono też szeroki kontekst społeczny i ekonomiczny, reprezentowany również przez elementy kultury materialnej, choćby kultowy skuter lambretta, instrumenty domowej roboty, kasety, płyty, gramofony czy radiodbiorniki.

Jest nawet antyczna, stojąca suszarka do włosów, tzw. helmowa, która towarzyszy relacji o marnym losie młodzieży, która fryzurą próbowała manifestować gust muzyczny. Jak bardzo groteskowo dziś brzmi wspomnienie festiwalu w Opolu, na którym lansowano hasło „nie włos, lecz głos” i nawet Tadeusza Nalepę w 1968 r., rok po nowojorskiej premierze musicalu „Hair”, zmuszano do chowania pukli pod kołnierz.

O tym, jak wiele się zmieniło od tamtych czasów, nie tylko w kwestii obyczajów, ale i technologii, najlepiej świadczy zabawna wpadka autorów wystawy. Oto mamy wezwanie do interakcji: „Zabierz radio z półki i zrób sobie zdjęcie na tle tłumu”. Obok wisi wielka fotografia, przedstawiająca jarocińską publiczność – młodzi ludzie stoją z magnetofonami, rejestrując koncert. Powstałe w ten sposób kasety krążyły później, w coraz gorzej brzmiących kopiach, po całym kraju, rozsiewając iskry muzycznego buntu nawet wśród tych, co nie mogli dotrzeć do Jarocina. Szkopuł w tym, że nagrywają magnetofony, nie radiodbiorniki, a w muzeum jako gadżety do selfie z epoki, podsunęto zwiedzającym niemal same radjka. Z tranzystorami w rękę przechadza-



Wystawa „Bunt w systemie”

NAPIS „DUPA” BYŁ AKTEM SAMOBÓJCZEJ ODWAGI

Był jazz, bigbeat, Jarocin, z drugiej strony była cenzura, wojsko, ZOMO.

Wystawa „Bunt w systemie. Muzyczne przestrzenie wolności 1945-89” wprowadzi młodych w skomplikowany świat relacji PRL-u z nowymi muzycznymi trendami. A starszym odświeży pamięć.



li się po plażach nowocześni wczasowicze, w Jarocinie odbiorniki były bezużyteczne.

MIT JAROCINA MA SIĘ DOBRZE

Skoro już o Jarocinie mowa – sporo go na nowohuckiej wystawie. Fani punk rocka będą zadowoleni. Dużo eksponatów użyczył jarociński Spichlerz Polskiego Rocka (do którego odwiedzenia serdecznie zachęcam), sporo pochodzi z prywatnych zbiorów. Tu przede wszystkim należy podziękować Krzysztofowi Grabowskiemu, perkusiście i tekściarzowi Dezertera, który był nader wszechstronnym działaczem punkowego undergroundu. Można więc przyrzeć się z bliska, jak wyglądał przygotowany przez niego fanzin, ale też, jak robiło się chałupnicze koszulki przy pomocy szablonów.

Mamy również kąpieli poświęcone cenzurze – choć szkoda, że nie pokazano, jak wyglądały teksty przed interwencją urzędnika i po niej, młodzi ludzie nie będą umieli sobie wyobrazić, jak absurdalne bywały to decyzje – oraz obowiązkowej służbie wojskowej. Ślusznie, bo wcielenie do armii zламало lub skomplikowało karierę wielu dobrze zapowiadającym się artystom.

Bardzo ciekawe są też kasety i śpiewniki z pieśniami z okresu stanu wojennego, choć tej części wystawy brakuje nieco głębszego wprowadzenia, choćby paru słów i zdjęć z I Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Prawdziwej „Zakazane piosenki”, który odbywał się w Gdańsku i Sopocie w sierpniu 1981 r. Jeśli to nie był przejaw buntu w systemie, to co nim było? Owszem, mamy osobną część poświęconą pieśniom patriotycznym i religijnym, śpiewanym na manifestacjach (stąd komplet-

ny rynsztunek zomowca jako ilustracja, bo Zmotoryzowane Odwoody Milicji Obywatelskiej często takie zgromadzenia rozpędzały), gdzie do jednego worka wrzucono nie tylko „Mury” i „Balladę o Janku Wiśniewskim”, ale też „Boże, coś Polskę” i „Mazurek Dąbrowskiego”. To jednak za mało (i zarazem zbyt szeroko), by człowiek, który nie pamięta tamtych czasów, mógł cokolwiek zrozumieć.

Wierzę bowiem, że adresatami „Buntu w systemie” są przede wszystkim ludzie młodzi, dla których będzie to nie tylko podróż w czasie, ale też w miejsce niemal zupełnie nieznane. Od upadku PRL-u wiele się zmieniło w nas i wokół nas. Młodzi odbiorcy powinni się dobrze bawić, bo twórcy zadbali m.in. o multimedia. Można i posłuchać piosenek z epoki, i obejrzeć materiały filmowe (od fragmentów koncertów, przez klipy, po strzępy kronik filmowych), i nawet potańczyć. Zamierzam więc lada dzień wrócić do Nowej Huty z własnymi dziećmi i ich kolegami, bo są akurat w wieku, w którym odkrywają muzykę starych. Niektórzy nawet naśladową dawne, subkulturowe mundury i zwyczaje. Niech zobaczą, skąd to się wzięło.

ZA MAŁO KRAKOWA W KRAKOWIE

Jako pierwsza porcja wiedzy o politycznej roli muzyki w PRL-u „Bunt w systemie. Muzyczne przestrzenie wolności 1945-89” powinien wystarczyć, może nawet zachęcić do dalszych poszukiwań. Starsi zwiedzający, szczególnie ci, którym muzyka jest bliska, znajdą powody do narzekań. Mnie na przykład rozczarowało niemal zupełnie pominięcie roli metalu, wielkiej kon-

Wierzę, że adresatami „Buntu w systemie” są przede wszystkim ludzie młodzi, dla których będzie to nie tylko podróż w czasie, ale też w miejsce niemal zupełnie nieznane

trkulturowej siły lat 80., zabrakło też bliższego przedstawienia innych ważnych gatunków i ciągnących za nimi subkultur, na czele z reggae.

Rozczarowało, ale zupełnie nie zaskoczyło, bo przewodnia rola punka w narracjach o tamtej epoce dawno już została ustalona i zabetonowana w świecie akademickim, medialnym i muzealnym.

Nie rozumiem jednak, dlaczego na krakowskiej wystawie tak mało miejsca znalazło się dla samego Krakowa. W sekcji jazzowej oddano jeszcze cesarzowi, co cesarskie – choćby opisując początki Krakowskich Zaduszek Jazzowych, ale im bliżej współczesności, tym ciszej. A przecież działo się tu niemało. Była Piwnica Pod Baranami, która, zanim skupiła się na celebrowaniu własnej wyjątkowości, była oazą artystycznej wolności, jakiej inne miejsca w Polsce nie zaznały (a jeśli nawet – długo to nie potrwało). Była kultura studencka, dzisiaj już zupełnie wymarła, ze swoją sztandarową imprezą – Studenckim Festiwałem Piosenki, organizowanym od początku lat 60. Lokalnym pomostem pomiędzy jazzem a punkiem był Kraków psychodeliczny – i w wersji light (Anawa) i hard (Osjan, Zdrój Nana). Z tego środowiska wyłonił się Marek Jackowski, założyciel Manamu, zespołu zasługującego na gablotę lub dwie, a nie krótką wzmiankę.

Czemu nie opowiedzieć też o Piotrze Marku i jego Dupa, a przy okazji o Püdel-sach? Był wreszcie i punk w Krakowie, choćby Ustawa o Młodzieży (pionierzy ideologii straight edge nad Wisłą, to dopiero pachniało rewolucją), Ekshumacja (szybko ewoluująca w Made In Poland) czy grający do dziś Genezyp Kapen. Dużo tego. W sumie wystarczająco dużo, by poświęcić im osobną wystawę. ●

• **Festiwal w Jarocinie w 1980 r. po raz pierwszy odbył się pod szyldem Ogólnopolski Festiwal Muzyki Młodej Generacji**

FOT. MUZEUM KRAKOWA

Pożar w Burdelu znów gra

Śmieją się z lewej i z prawej strony

„Latające samochody i podróże w czasie, tutaj w CPK odleciec jak na niezłym kwasie” – śpiewają kabaretowi artyści w nowej odsłonie Pożaru w Burdelu.

Witold Mrozek

Pożar w Burdelu, najsłynniejszy warszawski kabaret XXI wieku, powrócił po sześciu latach. Tym razem pod auspicjami Teatru Rampa. Dyrektorem tej sceny jest współtwórca Pożaru Michał Walczak, który wraz z varsavianistą Maciejem Łubieńskim założył kabaret w 2012 roku. „Casanova. Warszawskie zauroczenie” to ich nowy spektakl.

Operacja wskrzeszenia Pożaru w Burdelu przebiegła zaskakująco dobrze. A przecież było czego się obawiać – takie powroty bywają ryzykowne, żartów lepiej nie powtarzać zbyt wiele razy.

Ciągnące ku Rampie od stacji metra tłumy świadczą, że Pożar ma swoją widownię, choć są to raczej osoby 40+.

MIASTU I ŚWIATU

Pożar w Burdelu był najlepszy, gdy był warszawski. Gdy wątki „z miasta” wychodziły na pierwszy plan i nie przyćmiewała ich krajowa polityka.

Dlatego cieszę się, że powrót Pożaru osnuty jest wokół przekazów o pobycie w osiemnastowiecznej Warszawie słynnego uwodziciela Giacomo Casanovy. I że powraca pieśń Pałacu Kultury z czasów heroicznych początków w piwnicy przy Chłodnej 25.

Jednocześnie w nowym spektaklu nie brak wątków z pierwszych stron gazet. Pojawi się pokutujący rycerz edukacji Zawisza Czarnek, który przechodzi terapię po swoich rządach. Załamany polityczną zmianą przenosi się w czasy Katarzyny Wielkiej z pewnym diabolicznym planem.

Są też aluzje do głośnych afer z ostatnich miesięcy, m.in. do autobiograficznego tekstu Marcina Kąckiego o #metoo i „kobietach źle kochanych” czy dyrekcji Moniki Strzępek w Teatrze Dramatycznym.

Pożar śmieje się z lewej strony (owszem), z prawej (jeszcze bardziej) i z centrowych statecznych mieszczań (też).

Muzycznie i tekstowo „Casanova. Warszawskie zauroczenie” dorównuje najlepszym odcinkom Pożaru z przeszłości.

POŻAR ZNÓW PŁONIE

Pożar zdawał się kiedyś spełnionym marzeniem: zarabiającym na siebie niezależnym przedsięwzięciem artystycznym. Z knajpianej piwnicy wyszedł do wielkich warszawskich sal, grał

w Muzeum Polin, Nowym Teatrze, Teatrze Polskim czy dawnym kinie Wars, a także w Fabryce Wódek Koneser. U szczytu potęgi burdelowe przedsiębiorstwo prowadziło także swoją własną kameralną scenę na warszawskiej Pradze, przy pl. Hallera. Gościnnie w spektaklach Pożaru pojawiał się m.in. Andrzej Seweryn, grając dyrektora Andrzeja Seweryna czy władcę Mazowsza, marszałka Adama Struzik. Pożar wydał trzy płyty z piosenkami nakładem Karrot Kommando.

W 2018 r. próbę przeniesienia kabaretu na ekran podjął TVN, ale nie została ona najlepiej przyjęta. Gdy później w tajemniczych okolicznościach zniknął z pięniędzmi menadżer trupy, Pożar zgasł, zdawało się, na dobre.

Dziś ze starej ekipy został Andrzej Konopka – Burdeltata i ksiądz Marek, duszpasterz hipsterów. Jest też Anna Mierzwa – w rudej peruce wciela się w zastępczynię Rafała Trzaskowskiego, wiceprezydentkę Aldonę Machnowską-Górę. Czasy się zmieniły i nie ma już na scenie prezydent HGW, w którą wcielała się Agnieszka Przepiórska – dziś aktorka Teatru im. Słowackiego w Krakowie.

Jedną z głównych postaci nowego Pożaru jest za to mająca reprezentować interesy sfrustrowanej budżetówki nauczycielka – Marzena Świrska-Wnerwińska,

Pożar w Burdelu był najlepszy, gdy był warszawski. To znaczy, gdy wątki „z miasta” wychodziły na pierwszy plan, a nie ulegały przyćmieniu przez krajową politykę

grana przez Agnieszkę Makowską. Czy warszawskich nauczycieli stać na bilety po 100 zł? Jeśli odłożą po podwyżkach od nowego rządu? Kto wie.

Czy będą kolejne odcinki nowego Pożaru? Michał Walczak, zapytany przez „Wyborczą”, zapowiada, że spektakl „Casanova. Warszawskie zauroczenie” będzie grany i aktualizowany o nowe elementy komentujące wydarzenia. Będą też kolejne spektakle, ale nie w dawnej formule odcinkowej, co po prostu kolejnych produkcji, „z naciskiem na idee laboratorium warszawskiego musicalu”. Czekamy! ●

Maciej Łubieński i Michał Walczak, „Casanova. Warszawskie zauroczenie”, reż.: Michał Walczak. Scenografia: Michał Głasczka. Muzyka: Wiktor Stokowski. Choreografia: Katarzyna Koziorz. Premiera odbyła się 10 lutego 2024 w Teatrze Rampa na Targówku.

Katastrofa finansowa związku kolarskiego

– Ktoś za marnotrawstwo pieniędzy powinien iść do więzienia – mówi trener najlepszego torowca w Polsce i jednego z najlepszych na świecie.

Radosław Leniarski

Z powodu nieudolności, niegospodarności ciągnącej się latami i naciągania prawa szansę na start w igrzyskach w Paryżu mogą stracić kolarze torowi, zaprzeczając lata harówki. To będzie też tekst o biurokracji, która niszczy marzenia i odcina skrzydła. Tutaj sportowcy nie są niczemu winni, pozostają po stronie bitej.

Związek nie płaci od grudnia

Zaczęło się od alarmującego telefonu. – Proszę coś z tym zrobić, bo inaczej my tu zwariujemy! Sprawy stanęły na ostrzu noża – mówiły „Wyborczej” osoby związane z PZKol. Deklarowały, że robią to w imieniu grupy poszkodowanych przez związek kolarski zawodników, trenerów, pracowników. Związek nie płaci im od grudnia. Im, zawodnikom, lekarzom, trenerom, nikomu. Nie mają na zawody, na treningi, na obozy, ZUS.

Wybierają anonimowość, bo wymuszono na nich – na wszystkich pracownikach, w tym trenerach – podpisanie lojalki groźbą zwolnienia z pracy lub innych kar. Ani mru mru o tym, co się dzieje w związku przez – uwaga! – 20 lat.

– Olewam je, te lojalki! – mówi „Wyborczej” Igor Krymski, trener wice-mistrza Europy Mateusza Rudyka oraz grupy sprinterów. – Mówię prawdę, a reszta mnie nie obchodzi. Prawdą jest taka, że kolarstwo stanęło, nie istnieje, kram ta kadra. Ktoś za marnotrawstwo powinien iść do więzienia. Gdyby nie to, że obiecałem wytrwać do igrzysk, to już by mnie nie było! Ale nie zostawię nikogo na lodzie.

Na zawody – jedne z dwóch ostatnich, na których zdecydowały się kwalifikacje do igrzysk w Paryżu – kolarze nie pojadą. W Hongkongu wystartują tylko sprinterki dzięki łasce klubów, w których trenują. Stali Grudziądz i Ziemi Darłowskiej. Nikt inny.

Walka na żyletki

Tymczasem wśród mężczyzn w praktyce zapewniony start indywidualny na igrzyskach ma tylko Rudyk (to znaczy miejsca nie są przypisane do nazwisk, ale on jest najlepszy z Polaków). Drużyna sprinterów w rankingu olimpijskim jest ósma, czyli znajduje się na miejscu dającym awans na igrzyska. Ale na początku kwietnia są mistrzostwa panamerykańskie, gdzie najprawdopodobniej wygrają i zdobędą punkty Kanadyjczycy, obecnie na dziewiątym miejscu. Walka między nimi a Polakami toczy się, jak się mówi w sporcie, na żyletki. Jeśli Kanadyjczycy zwyciężą, o włos wyprzedzą Polaków. Naszym pozostanie wtedy jedyna szansa do awansu do Paryża – Puchar Narodów w Kanadzie w połowie kwietnia, gdzie musieliby pokonać gospodarzy – i to wysoko. Jeśli nie uda się w drużynie, mogą nie wystartować w Paryżu w konkurencjach indywidual-



alnych. Ogromne problemy z kwalifikacjami są też w innych konkurencjach.

No i muszą znaleźć się pieniądze na wyjazd.

– A czy pożał się Boże „decydenci” myślą, że schowamy kolarzy do lodówki i wyciągniemy ich świeżutkich przed zawodami? Co za ignorancja! My musimy się przygotować. Za co? Gdzie? Forma ucieka każdego dnia – grzmi naprawdę wściekły Krymski, który – jak mówi – „szyje” formę sprinterów z ograniczonych zasobów.

Dla wielu z nich może to oznaczać koniec marzeń o starcie w Paryżu z powodu katastrofy finansowej związku. Na ostatnie międzynarodowe zawody, w tym mistrzostwa Europy w Holandii, specjalnie powołana Fundacja Wspierania Polskiego Kolarstwa kupiła bilety lotnicze, a całą resztę ekipa sportowców opłaciła sobie sama, niejako stając się wierzycielami zadłużonego związku. Ktoś będzie musiał zapłacić za hotel. Faktura wisi niezapłacona.

Związek nie ma pieniędzy na szkolenie, na zawody, na pensje i stypendia. Ostatnie wynagrodzenia pracownikom – federacja odnawia im umowy na zlecenie, a nie o pracy – wypłacił w grudniu.

Wszystko przez to, że PZKol pod względem finansowym od lat trwa w stanie rozległego zawału, który ma źródło w decyzji sprzed lat o budowie toru kolarskiego w Pruszkowie. Ówczesny prezes nie zapewnił inwestycji 50-procentowego finansowania z ministerstwa, ale działał tak, jakby je miał. Tor kosztował prawie 100 mln zł. Teraz związek jest dłużnikiem wielu firm, które budowały tor, dostarczając wodę, energię, komunikację. Winny jest urzędowi skarbowemu,

• **Mistrzostwa świata w kolarstwie torowym w Pruszkowie, 3 marca 2019 r.**

FOT. SŁAWOMIR
KAMIŃSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL

miastu Pruszków, ZUS-owi. Tor próbowano zlicytować rok temu, ale nie było chętnych. W związku są zajęcia komornicze. W sumie zobowiązania wynoszą ok. 21 mln zł wraz z odsetkami i rosną w tempie 1 mln na rok.

Ktoś przeciął kroplówkę

Ponieważ trwa postępowanie komornicze, związek nie może otrzymywać pieniędzy na szkolenie bezpośrednio z Ministerstwa Sportu i Turystyki, lecz poprzez pośrednika, zwanego operatorem. Mało tego, od 2017 r. nie rozliczył się z ani jednego roku działalności. To kluczowe, bo jeśli nie rozliczy się 2017, to każdego następnego również nie. Wiadomo, że federacja sama nie jest w stanie wyjść z tej katastrofy żywa. Ale pomoc jest niewystarczająca, dozowana kroplówką. A teraz ktoś wziął do ręki nożyczki i przeciął kroplówkę. Zrobił to PKOl.

Operatorem, przez którego związek otrzymuje z ministerstwa pieniądze na programy szkoleniowe, był dotąd wła-

śnie PKOl. Ale nie chce mieć nic więcej do czynienia z kolarzami.

Neoficjalnie pretekstem do zerwania umowy było wynajęcie przez związek kolarski zewnętrznej firmy księgowej, która przygotowała sprawozdanie finansowe za ów feralny 2017 r., zamiast zgodnie z prawem rozliczać zadania z programów szkoleniowych. Tylko na to dostała dotację. To trochę tak, jakby ktoś nam pożyczył pieniądze na jedzenie, a wydaliłbyśmy je na kino. Czy to prawdziwy powód zerwania umowy? Nie wiadomo. PKOl zgłosił mianowicie, że ma tytuł własnych sponsorów do obsłużenia rachunkowego, że jego dział księgowy nie wyrabia na trzy zmiany i nie dałby rady dodatkowo obsługiwać PZKol.

– Nie dajmy się zwariować. Moim zdaniem PKOl nie dość, że poczuł się oszukany, to jeszcze musi oddać ministerstwu pieniądze – mówi jedna z osób, które woła z powodu lojalki pozostać anonimowe. Szef związku Rafał Makowski powiedział „Wyborczej”, że zatrudnienie dobrych księgowych to jedyny ratunek – jak twierdzi, musi rozliczyć ten cholerny 2017 r., by kolarstwo odetchnęło.

Minister sportu Sławomir Nitras na posiedzeniu sejmowej komisji sportu stwierdził, że to, co robi PKOl, jest zakłócaniem przygotowań olimpijskich. Był oburzony. Warto jednak mieć na uwadze, że jest to starcie PKOl Radosława Piesiewicza z zaciągu PiS z ministrem Nitrasem, zagończykiem PO, w którym największe cięgi zbierają sportowcy. Minister Nitras zadeklarował, że znajdzie sposób – użył słowa bypass – żeby wypłacić pieniądze kolarzom na treningi i zawody.

Ale to potrwa, a Paryż się oddala. ●

Związek nie ma pieniędzy na szkolenie, na zawody, na pensje i stypendia. Ostatnie wynagrodzenia pracownikom wypłacił w grudniu. Wszystko przez to, że PZKol pod względem finansowym od lat trwa w stanie rozległego zawału, który ma źródło w decyzji sprzed lat o budowie toru kolarskiego w Pruszkowie

Srebrna Ewa Swoboda

Rekord Polski nasza sprinterka pobiła już w półfinale, w finale pobięła odrobinę wolniej.
Wystarczyło do srebrnego medalu. – Liczyłam, że wygram – mówiła po biegu.

Marcin Wesolek

Halowy dystans sprinterski – 60 metrów – jest dla niej stworzony. To na nim osiąga najlepsze wyniki, bo gdy przychodzi biegać na stadionie, dodatkowe 40 metrów do pokonania czynią z niej zawodniczkę wyśmienitą, ale jeszcze nie wybitną. Miejsce w finale ubiegłorocznych mistrzostw świata w Budapeszcie to dla niej na razie szczyt możliwości na stadionie.

Ewa Swoboda i jej 60 metrów

– Choć bliskie sobie, 60 m i 100 m wymagają odrobinę innych cech od zawodników – mówił w „Wyborczej” jeden z wyśmienitych polskich sprinterów, który w rozmowie z Radosławem Leniarskim nie chciał, by wymieniać jego nazwisko. – Gdy ja startowałem na 100 m, po pierwszych 30-40 metrach bardzo często sądziłem, że był jakiś fałstart. Gdzie są moi rywale? Nie ma nikogo. Na 60 m tak było do końca, na 100 m pojawiali się nie wiadomo skąd niedaleko przed metą – kontynuował.

W hali Swoboda czuje się znakomicie, wystarcza jej dynamiki na cały dystans. Ma w kolekcji trzy medale halowych mistrzostw Europy (w tym jeden złoty), na ostatnich halowych mistrzostwach świata w Belgradzie dwa lata temu była czwarta. Ale wtedy biegła ten dystans w 7,04 s, niby o mgnie nie oka, a tak naprawdę wyraźnie wolniej, niż biega teraz.

Bo teraz, na halowych mistrzostwach świata w Glasgow, Ewa Swoboda 7,02 s pomknęła w eliminacjach, biegnąc swobodnie, jakby bez wysiłku. W półfinale było po niej widać już większą koncentrację, czego skutkiem był fantastyczny bieg, w którym już po pięciu pierwszych krokach była wyraźnie przed rywalkami. Półfinałowy wynik 6,98 s to rekord Polski i najlepszy wynik na

świecie w tym sezonie. Jej największa rywalka – Julien Alfred z Saint Lucia – półfinał pobięła słabiej od Polki, wygrała swój bieg z czasem 7,03 s. Różnica pięciu setnych sekundy między wynikami Swobody a kolejnej zawodniczki na tak krótkim dystansie wyglądała na przepaść i stawiała Polkę w roli murowanej faworytki do złota.

Ale bieg sprinterski to rodzaj loterii, w której nie zawsze wyciąga się szczęśliwy los. Nie wystarczy bardzo szybko pobiec, wcześniej trzeba błyskawicznie zareagować na strzał startera, ale jednocześnie nie tak szybko, by narazić się na ryzyko fałstartu. Reakcja startowa, odpowiednia siła i idealna technika biegu – gdy te trzy ele-

menty uda się zgrać, można liczyć na sukces.

Jakub Szymański blisko brąziku

Gdy Swoboda rozgrzewała i koncentrowała się przed swoim finałem, na bieżni był już Jakub Szymański, specjalista od biegu na 60 m ppł. W półfinale uzyskał 7,46 s, ustanowił rekord Polski. – Srebro jest do wzięcia, bo przecież Granta Hollowaya nikt nie wyprzedzi – mówił przed kamerami TVP Krzysztof Kilian, który w biegu na 60 m ppł. odpadł na poziomie półfinału. – Będą dwa medale – dodał, kolejny przewidując dla swojej dziewczyny Ewy Swobody.

I Holloway, rekordzista świata, faktycznie pobięł po złoto. Polak miałby medal, gdyby pobięł jeszcze odrobinę szybciej niż w półfinale. Tymczasem był wyraźnie wolniejszy, zwłaszcza w pierwszej części dystansu. Osiągnął czas 7,53 s, dało mu to piąte miejsce. – Brązik był do wzięcia, ale popełniłem błąd na pierwszym płotku – mówił w TVP.

Finał Ewy Swobody

Wreszcie finał biegu na 60 m kobiet. Wychodząc na bieżnię, Polka wyglądała na rozluźnioną, jako jedyna pomachała do kamery. Zajął tor piąty, tuż obok Alfred, ona biegła na czwartym torze.

Swoboda wystartowała dobrze, ale nie doskonale, tym razem nie odjechała rywalkom tak jak w półfinale. Do ostatnich metrów toczyła zacięty bój z Alfred. Biegła świetnie, ale ciut wolniej niż w półfinale. Do mety dotarła w równe 7 s – o dwie setne sekundy wolniej niż złota medalistka z karaibskiej wysepki Saint Lucia.

Po biegu Polka była niezadowolona. – Liczyłam, że wygram – mówiła, jednocześnie śmiejąc się i płacząc. – Mam nadzieję, że przyniosę wam jeszcze więcej radości – dodała.

Srebro HMŚ Ewy Swobody to jej życiowe osiągnięcie. I powód, by znów pytać, czy na stadionie podczas igrzysk olimpijskich w Paryżu też może pobiec po medal. ●

Wojciech Kuczok



Górnictwo gyburstagi

GieKSie stuknęła sześćdziesiątka, a Włodzimierzowi Lubańskiemu siekierki – na Górnym Śląsku nikt nie obchodzi imienin, za to urodziny (gyburstagi) świętuje się z pompą.

W Katowicach dobiega końca już druga dekada bez ekstraklasy, zatem całe pełnoletnie pokolenie kibiców może myśleć o GKS jako przyspiewce czasów zamierzchłych. Choć i w tym sezonie, po nędznej jesieni, awans byłby zjawiskiem nadprzyrodzonym, właśnie tej wiosny wydarza się w Europie cudowna historia, która może przy Bukowej być znakiem nadziei.

Oto bowiem w Bundeslidze nieznosna hegemonia Bayernu (jedenaście tytułów z rzędu!) wedle wszelkich znaków na niebie i murawie zostanie przełamana przez Neverkusen. Tego przydomku Bayer Leverkusen doczekał się z powodu kłątwy bliźniaczej do tej, która nęka katowicki GKS – pomimo regularnie zdobywanych podiów i bycia przez dziesiątki sezonów ligową potęgą nigdy nie zdobyli mistrzostwa kraju. W tabeli wszech czasów Bundesligi są najwyżej sklasyfikowaną ekipą, która nigdy nie wygrała rozgrywek. W polskiej „wszechtabeli” z drużyn nieskalanych mistrzostwem wyżej od GieKSy jest tylko Pogoń, która ma swój los wpisany w nazwę, wszak w Szczecinie nie chodzi o to, by króliczka złapać, ale by gonić go.

Bayer idzie jak burza, jest niepokonany, od początku sezonu stracił punkty tylko w czterech remisach, a wszystko to za sprawą Xabiego Alonso, który już w pierwszej samodzielnej robocie trenerskiej postanowił dokonać niemożliwego. Bask, który przecież kończył karierę piłkarską kilkoma tytułami w Monachium, już zimą doprowadził Bayern do ciężkiej frustracji,

W Katowicach dobiega końca już druga dekada bez ekstraklasy, zatem całe pełnoletnie pokolenie kibiców może myśleć o GKS jako przyspiewce czasów zamierzchłych. Choć i w tym sezonie, po nędznej jesieni, awans byłby zjawiskiem nadprzyrodzonym, właśnie tej wiosny wydarza się w Europie cudowna historia, która może przy Bukowej być znakiem nadziei

kiedy w bezpośrednim pojedynku Aptekarze roznieśli rywali – odtąd w Monachium tracą punkty gdzie popadnie i nawet we wtorkowym rewanżu Ligi Mistrzów będą musieli odrabiać straty z przeciętnym Lazio. A zatem, GieKSiarze, w górę serca – może i wam się uda tej wiosny oszukać przeznaczenie.

Na razie o jubileuszowe atrakcje zadbali Paweł Czado i Ryszard Szuster, autorzy monografii „GieKSa, Fakty, ludzie, anegdoty”, książki absolutnie obowiązkowej dla fanów polskiej (nie tylko śląskiej) piłki. Dziesiątki portretów największych gwiazd – od tej najjaśniejszej Jana Furtoka, po Sławomira Wojciechowskiego, pierwszego Polaka, który zdobywał (dwukrotnie!) mistrzostwo z Bayernem – fantastyczne fotografie, mnóstwo pożywnych historii.

Pośród anegdot wiedzie prym ta o wściekłym Zbigniewie Bońku, który po meczu Widzewa przepasany ręcznikiem wybiegł z łazienki, aby zrużać prezesa gospodarzy za brak wody, a Marian Dziurówicz wytłumaczył mu, że to z powodu kąpeli... słoni (stadion przy Bukowej graniczy z chorzowskim ZOO). „Woda będzie, jak skończą, ale to trochę potrwa, bo przecież to duże stworzenia...”.

Tymczasem za miedzą, w Zabrze, świętowano w weekend nie tylko zwycięstwo nad liderem ekstraklasy (ach, te podania Podolskiego, ach, ta asysta...), lecz nade wszystko urodziny Włodzimierza Lubańskiego. Z tej okazji zaproszono wszystkich świętych Górnika do Teatru Nowego na spektakl „Chopcy z Roosevelta” w reżyserii Jacka Głomba. Jeśliby kto twierdził, że stadion i teatr to antypody, tego wieczoru zdziwiłby się niepomiernie – w łóżach emerytowane WAGs z szalikami dopingowały aktorów, a ich mężowie rozpoznawali bezbłędnie, których kolegów z dawnych boisk losy akurat są prezentowane. Po spektaklu rozmowę z jubilatą poprowadził Michał Okoński, a zaczął ją tak, że zabrzańska starszyzna aż zasyczała. Jako kibic Tottenhamu zaprezentował na dzień dobry program z pucharowego meczu londyńczyków z Górnikami, tyle że w Zabrzu nikt już nie pamięta o zwycięstwie w pierwszym meczu, skoro w rewanżu Ernest Pohl i spółka oberwali... 1:8. Lubański dyplomatycznie przypomniał, że w tamtych czasach był jeszcze tylko kibicem, debiut ligowy zaliczył parę lat później. ●

• **Srebro halowych mistrzostw świata Ewy Swobody to jej życiowe osiągnięcie**

FOT. REUTERS / HANNAH MCKAY

wyborcza.pl

• **O niedzielnych występach Pii Skrzyszowskiej i innych Polaków czytaj na Wyborcza.pl**

A jednak się kręci

Kevin i Erling, najpiękniejsza para na świecie

Messi kontra Ronaldo – przez ponad dekadę na szczytach futbolu oglądaliśmy zażartą, fascynującą rywalizację. A co, jeśli teraz popodziwiamy tam wirtuozów, którzy namiętnie ze sobą współpracują?

Stec



Istnieje stara futbolowa prawda, że ten, kto wraca na boisko po długiej przerwie, potrzebuje czasu, by znów czuć się na murawie jak hipopotam w błocie – musi odzyskać czucie piłki, rytm gry, znów przyzwyczać się do intensywności prawdziwej walki. Aż tu nagle zjawił się pewien zuchwały rudzielec z Belgii i postanowił świętą zasadę obalić, a nawet, doprecyzujemy, totalnie skompromitować.

Kevin De Bruyne leczył poprute mięśnie uda od sierpnia, bite pięć miesięcy, właściwie całą wieczność, ale nie zamierzał o tym pamiętać. W meczu z Huddersfield jeszcze truchtał dość spokojnie, przez ostatnie pół godziny, by parę chwil później rozszaleć się jak młody bóg – sześć minut po wejściu z rezerwy w hicie Manchesteru City z Newcastle dzięki chirurgicznie wymierzonemu uderzeniu zdobył wyrównującą bramkę, w doliczonym czasie zdążył jeszcze wyczarować asystę pozwalającą faworytom zwyciężyć, i od tamtej pory nie umie się powstrzymać, magiczne kopnięcia wysypuje spod korków seriami. Choć rzadko rozgrywa pełne spotkanie, to w dziesięciu meczach zdołał mieć zasadniczy udział przy 12 golach. Dwa sam strzelił, dziesięciokrotnie obdarowywał asystą kolegów, bezpośrednio lub pośrednio poprawia wynik średnio co 45 minut gry (statystyki sprzed niedzielnych derbów Manchesteru). Patrzysz z rozdziawioną gębą i masz pewność – w obuwii piłkarskim De Bruyne spacerowałby po wodzie jak tamten mityczny rebeliant z Betlejem.

...

Biada więc rywalom Manchesteru City, biada i po tysiąckroć biada, dlatego że belgijski rozgrywający ze szczególnym upodobaniem podaje piłkę Erlingowi Haalandowi, innemu fenomenowi gardzącemu odwiecznymi prawami natury. Norweski blondyn unieważnia je przez całą karierę, bo nigdy i nigdzie nie potrzebuje się aklimatyzować, wszędzie przejmuje władzę, zanim obsługa stadionu włączy jupitery. Kiedy podczas młodzieżowego mundialu na stadionie Zagłębia Lubin nastrzelał dziewięć goli Hondurasowi – w 7., 20., 36., 43., 50., 67., 77, 88. oraz 90. minucie – odruchowo pomyślałem, że ktoś obłowił się u bukmacherów, to musi być ustawka. Ale potem zobaczyłem, jak Haaland przedstawia się na wielkiej scenie, i zalał mnie wstyd, uległem podejrzliwości człowieka skażonego łapówkarską tradycją polskiego kopactwa.

Gola w Lidze Mistrzów, jeszcze zakładając koszulkę Red Bulla Salzburg,



• Kevin De Bruyne i Erling Haaland podczas środkowego meczu Manchesteru City z Luton

FOT. REUTERS / DAVID KLEIN

De Bruyne płynie w nurcie apollońskim – napędza go intelekt, błyskotliwość, elegancja i harmonia gestów, zaprasza widza do kontemplacji. Haalandowi bliżej natomiast do postawy dionizyjskiej – jest żywiołem, wściekłym instynktem, niepohamowanym pędem życia, wyzwalanym przez strzelane gole ekstatycznym uniesieniem

wbił w debiucie – po stu sekundach gry – kolejnego dorzucił pół godziny później, na przerwę schodził już z trzema. I od tamtej pory nie ucichł, choć wydawało się, że w pewnej chwili musi całkiem zamilknąć, na kilka tygodni, nawet na kilka miesięcy – jak wszyscy młodzieńcy, którzy owszem, przy odpowiednim ładunku beczelności i umiejętności wlamują się znienacka na sportowy szczyt, ale potem powoli się z nim oswajają, przynajmniej kryzyski dotykają każdego. Wiedzą o tym i Lewandowski, i Ronaldo, i Messi.

...

Haalanda nie dotykają. W Salzburgu wytrzymał zaledwie rok, wyrwał do Borussia Dortmund, by również Bundesligę wysadzić w powietrze już w debiucie – znów potulnie przycupnął wśród rezerwowych, ale gdy wtargnął na murawę, w 23 minuty przygrzmocił rywalom hat trickiem. Choć był jeszcze nastolatkiem, zniszczył system również w kolejnym meczu i w zatrzęsieniu następnych. A jak przywitał ligę angielską, ponoć najsilniejszą na świecie, nieludzką wymagającą i stanowiącą ostateczną próbę dla futbolistów chcących uchodzić

za wybitnych? City wygrywa na wyjeździe z West Hamem 2:0, oba ciosy wymierza Norweg. Absolutny szczyt beczelności.

Zdaje sobie sprawę, że zapędziłem się w hiperbolach, wyrzucam z siebie nadmierne frazy z beztroską typowego telewizyjnego komentatora, który w każdym meczu dostrzega całe kaskady zagrań cudownych i fantastycznych, kopnięcie po prostu sensowne obwołuje genialnym – więc nawet na piłkarzy naszej tzw. ekstraklasy spada więcej podniebnych komplementów niż na przedstawicieli jakiegokolwiek innej grupy zawodowej. Cóż, niż nie poradzę, prawdopodobnie zostałem genetycznie zmodyfikowany, gdy w środku minionego tygodnia ukąsił mnie mecz Luton z Manchesterem City.

3. minuta: asysta De Bruyne, gol Haalanda; 18. minuta: asysta De Bruyne, gol Haalanda; 40. minuta: asysta De Bruyne, gol Haalanda; 55. minuta: asysta De Bruyne, gol Haalanda. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej – pomijam gierki na „orlikach” – doświadczył równie perfekcyjnej, popartej zmieniającym wyniki konkretem współpracy rozgrywanego z napastnikiem. Cztery kolejne gole strzelone w tej samej konfiguracji osobowej. Aż zrobiło mi się żal, że do zabawy wtrącił się Bernardo Silva i to on asystował Norwegowi przy piątej

bramce. I że Norweg został odwołany z boiska na kwadrans przed ostatnim gwizdkiem – okłaskiwali go nawet fani gospodarzy, być może również dlatego, że odetchnęli z ulgą, iż los uwalnia ich od bezlitosnego prześladowcy.

...

Odkąd z wielkiego futbolu ewakuowali się Leo Messi (zbiegł na Dziki Zachód) i Cristiano Ronaldo (rozrabia na Bliższym Wschodzie), eksperci raczej nie mają śmiałości używać pojęcia „najlepszy piłkarz na świecie” i zestawiać go z nowym nazwiskiem. Niewykluczono jednak, że znów wszystkich piłkarzy zasłania duet gigantów, tyle że tym razem ze sobą kooperujących. De Bruyne płynie w nurcie apollońskim – napędza go intelekt, błyskotliwość, elegancja i harmonia gestów, zaprasza widza do kontemplacji. Haalandowi bliżej natomiast do postawy dionizyjskiej – jest żywiołem, wściekłym instynktem, niepohamowanym pędem życia, wyzwalanym przez strzelane gole ekstatycznym uniesieniem. Gdyby ich łączyć w jednym ciele, rozległby się ryk potwora, ofensywnego piłkarza totalnego.

Tylko futbol by wówczas zbiedniał – nie podziwialibyśmy ich zapierającą dech współpracę, najpiękniejszej pary na stadionach świata. ●

Rafał Stec

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW

Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: kolportaz@wyborcza.pl
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Agora SA, ul. Czerska 8/10,
00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Marta Gądek
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

